



KRISTINE ROLOFSON



Lord potrzebny od zaraz

ROZDZIAŁ PIERWSZY



- Kolejnym etapem naszej wycieczki będzie jeszcze jedna sławna wiejska rezydencja, Longley House. Pierwszy hrabia Longford był, oczywiście, doradcą Elżbiety I, królowej Anglii.

Przewodniczka, dobrze zbudowana brunetka o niskim głosie, odsunęła od ust mikrofon i szepnęła coś kierowcy autokaru.

- Wiedziałam - powiedziała Betsy. - Czytałam parę tygodni temu o tej rezydencji. Niesamowicie ekscytujące - dodała i poklepała syna po kolanie.

Sam Martin żałował, że nie podziela jej entuzjazmu. Spędzili już w tym autokarze nie wiadomo ile dni, odwiedzili nie wiadomo ile zabytkowych wiejskich rezydencji, a matka wciąż była tak samo podekscytowana. Odczuwał zadowolenie, że podróż sprawia jej przyjemność, ale nie był w stanie dzielić z nią tej radości.

- Cieszę się, że dobrze się bawisz - odparł tak samo, jak w ciągu minionych pięciu dni wycieczki.

- A ja się cieszę, że mogłeś się ze mną wybrać, choć żałuję, że ciotka Mary spadła z tych schodów - westchnęła Betsy. - Ale czyż to nie cudowne, że możemy spędzić razem trochę czasu?

- Bardzo.

Sam w zamyśleniu spojrział przez okno na monotony krajobraz angielskiej wsi. Pięć dni i sześć nocy - jeśli wziąć pod uwagę spanie w

samolocie - z dala od Connecticut, to bez wątplenia „spędzanie razem czasu”.

- Ale najważniejsze, że wzięłaś trochę urlopu, ze mną czy beze mnie. Za ciężko pracujesz - stwierdziła po raz setny matka. - To niezdrowo.

- Lubię moją pracę - odparł.

W każdym razie do pewnego momentu tak było. Teraz jego firma budowlana praktycznie działała sama. Zaczynał się już trochę tym nudzić i myślał o jakiejś odmianie.

- Życie to nie tylko praca. - Matka wzruszyła ramionami.

- Tak, masz rację.

Prościej było się z nią zgodzić, niż dyskutować. W kłótniach Betsy zawsze była mistrzynią.

- Wybacz, kochanie. Nie powinnam gderać, skoro byłeś taki miły i dałeś mi ten cudowny prezent z okazji mojego przejścia na emeryturę. I w dodatku pojechałeś ze mną. Chyba będzie mi wspaniale teraz, kiedy nie muszę już chodzić do pracy. A jak się ożenisz, będę miała mnóstwo czasu, żeby zajmować się wnukami.

Sam musiał się uśmiechnąć. Mimo że odkąd pamięta, zawsze przekonywał matkę, że nie ma zamiaru żenić się z żadną z tych dziewczyn, z którymi się spotykał, Betsy nadal była pewna, że któregoś dnia zostanie babcią. I to wkrótce. Od kilku lat każda kobieta, którą zaprosił na kolację, myślała o nim jako o potencjalnym mężu. Na wszystkich robił wrażenie „przyzwoitego faceta”. Kobiety widziały w nim interesującego mężczyznę z równie interesującym kontem bankowym. Mężczyznę, który nie będzie bił swojej żony, kopał kota ani wymigiwał się od wożenia dzieciaków na basen. Był więc idealnym materiałem na męża. Tylko tyle. I aż tyle.

Wcale nie był tym zachwycony. A gdzie tu miejsce na namiętność? Na miłość? Nagle przed jego oczami pojawiła się ogromna kamienna budowla.

- Oto Longley House - oznajmił z nadzieją, że widok ten odwróci uwagę matki od jego życia osobistego.

- O raju, Sam. Ależ ogromny.

Panna Dianne znów wzięła do ręki mikrofon.

- Popatrzcie państwo, jak łatwo sobie wyobrazić królową Elżbietę odwiedzającą wraz ze swoim dworem którąś z takich rezydencji, prawda? Jednym z jej ulubionych doradców był pierwszy lord na tych włościach, więc to całkiem możliwe, że zawitała i tutaj,

- Ojej - powiedziała znów Betsy. - Na pewno.

Sam domyślił się, że matka za chwilę znów zacznie opowiadać o królowej. Miał rację.

- Zawsze odczuwałam bliskie powinowactwo z królową Elżbietą - oznajmiła Betsy.

„Urodziłyśmy się tego samego dnia”, dodał w myślach.

- Urodziłyśmy się tego samego dnia, siódmego września - powiedziała głośno matka."

- To zaledwie za tydzień - zauważył Sam, z nadzieją na zmianę tematu. - Zastanawiałas się już, jaki prezent chciałabyś otrzymać w tym roku?

- Wnuki.

- Wybierz coś innego.

Matka zignorowała go i znów spojrzała przez szybę autokaru.

- I królowa, i ja miałyśmy ojców o imieniu Henryk. „I matki o imieniu Anne".

- I matki o imieniu Anne.

- Oraz starszą siostrę o imieniu Mary - rzekł tym razem na głos Sam.

- Tak - westchnęła starsza pani. - Będę miała siedemdziesiąt cztery lata, a Mary siedemdziesiąt osiem. Po co ona się pchała na tę wieżę obserwacyjną? Nawet jeśli wydawało jej się, że widzi największy pożar lasów w całej Montanie.

- Masz rację, mamo.

- Mary jest strasznie uparta. Nikogo nie słucha.

- Rzeczywiście.

Ale nie ona jedna. To była już wręcz cecha rodzinna.

Mikrofon w ręku panny Mortimer znów zapiszczał. Przewodniczka miała około czterdziestki i oprócz Sama była najmłodszą osobą w autokarze. Zrobiło mu się głupio, kiedy obdarzyła go powłóczyстым spojrzeniem. Od początku wycieczki była wyraźnie zainteresowana tym amerykańskim kawalerem. Z trudem utrzymywał ją na dystans. Pożądanie i autokar pełen rozgadanych, siwowłosych pań W jego przekonaniu wzajemnie się wykluczały.

Zresztą miał dotrzymywać towarzystwa matce, a nie „zabawiać” się z przewodniczką w ciemnym kącie jakiejś ponurej katedry. Panna Dianne zaproponowała mu to już drugiego dnia wycieczki, w Westminster Abbey.

- Za kilka minut dojedziemy do Longley House. Po lewej zobaczą państwo to, co pozostało po słynnym parku. Wciąż pasą się tam potomkowie słynnej tudorskiej rasy jeleni. Lady Elizabeth, jedna z niewielu żyjących członków rodziny Longfordów, poświęciła życie ocaleniu rodzinnego domu swoich przodków. Zbudowany na terenie opactwa, Longley House był wielokrotnie przebudowywany i przerabiany, zależnie od kaprysów kolejnych lordów.

Autokar zakołysał się, wjeżdżając w szeroką, wysadzaną drzewami aleję. dla utrzymania równowagi panna Dianne chwyciła za drążek.

- Spędzimy tu trzy godziny. Mogą państwo zwiedzić dom, a także, skoro pogoda nam sprzyja, przyległe tereny. W razie gdyby ktoś z państwa chciał skorzystać z toalety, informuję, że są w przybudówce. - Panna Dianne spojrzała na zegarek. - Umówmy się tutaj dokładnie o czwartej. Musimy przecież dojechać jeszcze do hotelu, gdzie zaplanujemy sobie nasze ostatnie dwa wspólne dni. Dobrze? Życzę miłej zabawy i bardzo proszę się nie spóźniać.

Betsy wypchała swą torebkę mnóstwem niezbędnych rzeczy, w rodzaju okularów przeciwsłonecznych, cukierków i chusteczek higienicznych. Na szyi zawiesiła aparat fotograficzny, a na głowę włożyła baseballową czapkę.

- Jestem gotowa - oznajmiła, wstając z miejsca. - A ty?

Sam był raczej gotów na piwo w jakimś barze. Później na gorący prysznic. A najbardziej na to, by wsiąść jak najszybciej do samolotu i wrócić do domu.

- No to idziemy. Ty pierwszy.

- Sammy, kochanie! - zawołała jedna ze staruszek. - Czy mógłbyś mi pomóc?

- Oczywiście, proszę pani.

Sam od razu rozpoznał głos pani Barrett. Zaczekał, aż zwolni się przejście, i podszedł do próbującej wstać starszej pani. Mimo wyraźnych trudności z chodzeniem, podpierając się laską, dzielnie starała się uczestniczyć we wszystkich punktach programu.

- O, tak dobrze? - spytał, kiedy pani Barrett wsparta o laskę wolno ruszyła ku wyjściu.

- Tak, dziękuję, mój drogi.

Sam spojrzeniem dał znak kierowcy, by pomógł wysiąść dzielnej pasażerce.

W obecności jego matki panna Dianne nie odważyła się go zaczepiać, puściła tylko do niego oko i wręczyła dwa bilety do Longley.

- Czy jest coś, co szczególnie chciałbyś tu zobaczyć, Sam? - spytała

- Nie, raczej nie.

Betsy otworzyła na właściwej stronie przewodnik po wiejskich rezydencjach Wielkiej Brytanii.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Wróżka w Canterbury przepowiedziała mi, że spotkam swoje przeznaczenie w jakimś złotym zamczysku z błękitną sypialnią.

Panna Dianne wydeła usta.

- Tak, pamiętam. Spóźniła się pani wtedy do autobusu o cztery minuty.

- Już co najmniej dziesięć razy panią za to przepraszałam, a poza tym trzy inne osoby spóźniły się jeszcze bardziej.

Przewodniczka wzruszyła ramionami i odeszła w przeciwnym kierunku.

- Dziś proszę być o czasie, pani Martin. Idę się czegoś napić.

Sam zignorował to nieme zaproszenie i ująwszy matkę pod łokieć, poprowadził ją w kierunku kamiennych schodów.

Szedł bardzo wolno, więc nawet pani Barrett ich wyprzedziła, a Betsy straciła cierpliwość.

- Pospiesz się, Sam - powiedziała. - Mamy tylko kilka godzin na znalezienie tej błękitnej sypialni.

Kiedy nie udało mu się powstrzymać jej choćby trochę, Sam przyspieszył kroku. Dogonili stojącą przy schodach panią Barrett.

- Wielkie nieba! - zawołała starsza pani, spoglądając na budynek. - Widzieliście kiedyś coś takiego?

Cała trójka z uwagą przyglądała się ogromnej kamiennej budowli - trzypiętrowej konstrukcji ze złocistego kamienia, z dziwnym, spiczastym dachem i setkami wąskich, prostokątnych okien. Samowi gmach wydał się równie atrakcyjny jak średniowieczne więzienie, ale towarzyszące mu dwie starsze panie były zachwycone. Wolno wspięli się po schodach i stanęli przed ocienionymi przedsionkiem drzwiami.

- Złoty zamek - powtórzyła Betsy. - Dokładnie tak, jak mówiła wróżka.

- Czy to jest zamek? - Sam nie mógł się powstrzymać, by zadać pytanie.

- Nie. Kiedyś było to opactwo, ale kiedy kupili je Longfordowie, przerobili na coś bardziej luksusowego - wyjaśniła Betsy, otwierając przewodnik. - Zobaczmy - mruknęła, ale Sam wyjął jej książkę z ręki.

- W środku, w stoisku z pamiątkami, na pewno będą bardziej szczegółowe przewodniki - rzekł, wiedząc, że sprawi tym paniom przyjemność.

Przekonał się już, że takich stoisk nigdzie nie brakuje. Można w nich kupić podkoszulki i pocztówki, przewodniki wszystkich rozmiarów i w każdej cenie, ceramiczne miniatury zamków i budowli oraz kasety wideo, w razie gdyby ktoś chciał przeżyć wycieczkę jeszcze raz w zaciszu swego salonu.

Do tej pory Betsy nabyła już co najmniej siedemnaście miniaturowych domów i dwa podkoszulki.

- Nie chcę przegapić tej sypialni - oznajmiła właśnie.
- Pomyśl sobie, że po tylu latach spotkam swoje przeznaczenie.
- Na pewno zobaczymy błękitną sypialnię. W ogóle zobaczymy wiele różnych sypialni.

Sam prawie z rozpaczą popatrzył na monstrualną budowlę. Minęli sklepione przejście i szli w kierunku głównego wejścia. Domyślił się, że miejsce to było kiedyś dziedzińcem.

- Tu jest co najmniej pięćdziesiąt pokoi i pewnie tyle samo przeznaczeń. W każdym razie dla nas trojga wystarczy - dodał, mrugając do pani Barrett.

- Sammy, kochanie, to nie pora na żarty. Zresztą ja...

- Mamo. - Sam powstrzymał ją ruchem dłoni. - Wejźmy do środka.

Jakiś wysoki, starszy pan o siwych włosach i ponurej minie wziął od nich bilety i wręczył im broszurki w złotych obwódkach, zatytułowane „Życie w Longley”.

- Tu piszą, że zwiedza się samemu - powiedziała pani Barrett. - Możemy iść własnym tempem.

- Mówią, gdzie są sypialnie?

- Tu jest mapka. Popatrzmy. - Pani Barrett podsunęła Betsy rozłożoną broszurę. - Jesteśmy chyba tu, przy wejściu na dziedziniec. Jeśli wejdziemy do środka i skręcimy w lewo, możemy zacząć zwiedzanie od kuchni z czasów Tudorów.

Sam spojrzał na starszego odźwiernego.

- Przepraszam pana.

Mężczyzna spojrzał na niego, jakby był chłopem, który dostarczył wóz ze zbożem.

- Czy jesteśmy na dziedzińcu? - nie dał się zbić z tropu Sam.

- Tak, proszę pana. Właśnie tu. - Mężczyzna odwrócił się i wziął do ręki jakiś notatnik.

- Wygląda jak lokaj - szepnęła Betsy.

- Ja jestem lokajem, szanowna pani - rzekł mężczyzna, nie odwracając głowy.

- Och.

Pani Barrett stłumiła parsknięcie, a Sam szybko wprowadził obie panie do środka. Betsy zdążyła jednak rzucić jeszcze przez ramię krótkie „przepraszam”.

- Mamo, uważaj na schody - ostrzegł Sam.

- Przestań zrzędzić. Daję sobie radę.

Sam pomógł pani Barrett wejść po trzech szerokich, kamiennych stopniach, a potem tempo dyktowały już obie starsze panie. Postanowiły opuścić kuchnię i przejść od razu do „sedna”, jak Betsy określiła prawdziwe pokoje.

Jeszcze tylko trzy dni, pocieszał się w duchu Sam. Kochał swoją matkę bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale marzył o powrocie do domu.

Prawdę mówiąc, nie mógł się go doczekać.

- O raju!

Betsy przystanęła przed szesnastowiecznym portretem królowej Elżbiety. Jej Wysokość wyglądała po królewsku, rude włosy połyskiwały równie jasno jak klejnoty zdobiące aksamitną suknię. Betsy zaczęło się lekko kręcić w głowie.

Mimo że pokój był wysoki, było w nim bardzo duszno. Nic dziwnego, z tymi wszystkimi aksamitnymi zasłonami osłaniającymi łoże.

- Błękitna sypialnia - rzekł Sam, zupełnie niepotrzebnie. Grace Barrett kiwnęła głową.

- Bardzo, że tak powiem, błękitna.

- I złota. - Betsy rozglądała się po komnacie, wachlując się broszurą. Słuchając, jak Grace czyta ze swojej broszurki, czekała na obiecane jej przeznaczenie.

- „Ogromne gobeliny nabył piąty lord. Obraz nad kominkiem przedstawia dzieci Karola I i jest kopią oryginału Van Dycka. Duża intarsjowana komoda naprzeciwko szesnastowiecznego łóża jest dziełem Pierre'a Gole'a".

Cała trójka posłusznie spojrzała na wspomniany mebel, a Betsy ledwo się powstrzymała, by nie otworzyć którejs z szuflad. Sam pomógł Grace usiąść na stojącym przy drzwiach zwyczajnym krześle, najwyraźniej przeznaczonym dla strudzonych zwiedzających.

- To błękitne łóżo wygląda, jakby za chwilę miało się rozpaść - zauważył.

- Ale ma duszę.

Betsy, nie wiadomo czemu, uznała, że powinna bronić sfatygowanego mebla. Jego jedwabne obicie było poprzecierane, widać było cały wątek i osnowę, a miejscami nawet dziury. Na tak przygnębiający widok zachciało jej się płakać.

- Duszę - skrzywił się Sam. - Prędzej kurz.

Betsy po raz kolejny uznała, że jej syn jest uroczym człowiekiem, ale o wiele za poważnym. Grace kichnęła. Zdrajczyni.

- Na zdrowie.

Wachlując się coraz szybciej, Betsy podeszła do łóża tak blisko, na ile pozwalały aksamitne sznury.

- Przepraszam - powiedziała pani Barrett. - To przez ten kurz.
- Albo perfumy. - Betsy pociągnęła nosem.
- Niczego nie czuję.
- Perfumy? - Sam stanął obok niej. - Mamo, jesteś bardzo blada.
- Nic mi nie jest - upierała się Betsy, podchodząc bliżej portretu Elżbiety I. Zapach stał się bardziej intensywny i coraz trudniej jej było oddychać. - A może i jest.

Poczuła rękę Sama na swym ramieniu i w tej chwili ogarnęła ją ciemność. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszała, było brzęczenie w uszach. Nogi się pod nią ugięły i padła w ramiona syna.

Elizabeth uwielbiała swój strój „pani na włościach”. Haftowany w gałązki muślin i perły ładnie do siebie pasowały, a długie spódnice ukrywały jej współczesne, wygodne buty na płaskich obcasach. Gdyby dodała jeszcze białe rękawiczki i kilka piór we włosach, na pewno mogłaby wziąć udział w herbatce z królową. Tyle że królowa pewnie nie odwiedzi Longley, choć zajrzała tu raz księżniczka Anna, w drodze na polowanie. Z udawanym zainteresowaniem obejrzała kolekcję obrazów przedstawiających sceny myśliwskie i już jej nie było.

Longfordowie i Windsorowie nie byli w najlepszych stosunkach. Tak działo się od roku 1902, kiedy to siódmy lord - pradziadek Lizzie - ujawnił swój stosunek do rodziny królewskiej. I to w Jej Królewskiej obecności. Prosto w Najjaśniejsze oczy. Od tej pory królewskie plecy były odwrócone. Główna gałąź Longfordów, potomkowie w linii prostej Wilhelma Zdobywcy, żyła szczęśliwie w zubożonej świetności Longley House. Wcale im nie przeszkadzało, że wszystko wokół nich obraca się w ruinę.

Elizabeth przeciągnęła szczotką po swych długich do ramion włosach, a potem zwinęła je w węzeł na czubku głowy.

- Proszę pani - zwróciła się do niej stojąca w drzwiach Peggie. - Jest pani proszona na dół.

Elizabeth zerwała się od lustra i wygładziła suknię.

- Czy lord Anthony przyszedł?

- Nie.

- Powinien już być. Pokojówka wzruszyła ramionami.

- Bardzo mi przykro, ale dam pani znać, jak tylko się pojawi.

- Na razie nie ma się czym martwić. W każdym razie od razu wprowadź go do jego pokoju. Czy strój dla niego jest gotowy?

- Tak. Sama wszystko wyprasowałam.

- Dobrze. Teraz musimy już tylko przekonać naszych gości, że są świadkami prawdziwego życia na angielskiej wsi. Powiedz Pattie, żeby jeszcze zaczekała z herbatą. Kanapki są gotowe, sałatka owocowa czeka w lodówce. Zejdę na dół, jak tylko sprawdzę pokoje.

- Mnie nie chodziło o jedzenie. - Krągła pokojówka pokręciła zdecydowanie głową. - Ta pani z Ameryki dziwnie się zachowuje.

- Pani z Ameryki? Myślałam, że wycieczki skończyły się wczoraj.

Brała to pod uwagę, planując ten ważny weekend.

- Ta jest ostatnia. Była jakaś pomyłka w rozkładzie - odparła Peggie.

- Panna Dianne obiecała, że o czwartej już ich tu nie będzie, ale właśnie ta pani zemdląca.

- Biedaczka. - Elizabeth spojrzała na zegarek. Miała jeszcze dziesięć, nie, dziewięć minut do przybycia gości. - Gdzie ona jest?

- W błękitnej sypialni. Pan Ruckles kazał mi panią przyprowadzić. Powiedział, że nie ma cierpliwości do głupich pokojówek.

Pan Ruckles nie miał cierpliwości także do turystów. Ani do wnuczek lordów, którym wydaje się, że potrafią prowadzić pensjonat rodzinny oraz mieć z tego wystarczające zyski, by naprawić dach, odrestaurować obrazy i ocalić cały dom od ruiny.

Elizabeth wybiegła z pokoju i pobiegła długim korytarzem, a potem schodami na parter. Trzecie drzwi na prawo prowadziły do błękitnej sypialni.

- Sammy, nic mi nie jest - przekonywała leżąca na podłodze ładna siwa pani.

- Nie ruszaj się - rzekł dobrze zbudowany mężczyzna w białej koszuli. Klęczał obok staruszki i trzymał ją za rękę. - Wciąż jesteś blada.

Elizabeth szybkim krokiem weszła do pokoju.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna obrzucił ją uważnym spojrzeniem swych ciemnych oczu.

- Moja matka zemdląca.

- Królowa - odezwała się słabym głosem starsza pani.

- Jestem lady Elizabeth Longford.

- Oczywiście. Moje przeznaczenie - szepnęła kobieta i zamknęła oczy.

- Przeznaczenie?

- Była u wróżki w Canterbury - rzekł mężczyzna, jakby to wszystko wyjaśniało. - Mamo?

- Wezwę lekarza.

- Może lepiej karetkę.

- Do najbliższego szpitala jest kawał drogi, panie...

- Martin. Sam Martin.

- Jesteś zamężna, moja droga? - spytała cicho staruszka, nie otwierając oczu.

- Czy przyjechała pani z grupą właścicieli biur podróży? Staruszka otworzyła oczy i przyjrzała jej się uważnie.

- Nie masz obrączki.

- Mamo - wtrącił się Sam. - To nie twoja sprawa.

Elizabeth poklepała go po ramieniu i szybko tego pożałowała. Było ciepłe i silne, a on wcale nie wyglądał jak ktoś, kto potrzebuje współczucia.

- Nic się nie stało.

- Doskonale - szepnęła starsza pani i znów zamknęła oczy.

- Czy mogę coś zrobić, żeby było pani wygodniej? - spytała Elizabeth. Było w tej kobiecie coś intrygującego.

- Łóżko - powiedziała Betsy z zamkniętymi oczami. - Może gdybym mogła wstać z tej podłogi. Te perfumy...

- Perfumy? - Elizabeth pociągnęła nosem. Czowała zapach kurzu i pleśni, ale żadnych perfum. - Panie Martin, czy mógłby pan zanieść pańską matkę na górę do naszych prywatnych pokoi? Tam będzie jej wygodniej. Wezwiemy...

- Oczywiście - odparł Sam, bez wysiłku biorąc matkę na rękę.

- Nie - zaprotestowała starsza pani. - Błękitne łóżko. Nie mogę... nie mogę się tak oddalać.

- Dobrze.

- W tym łóżu? - Ruckles szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. - Ona nie może...

- Oczywiście, że może - powiedziała zdecydowanie Elizabeth.

Lokaj wcale nie był przekonany.

- Nie rozpadnie się?

- Nie sędzę.

- Proszę pani. - Ruckles odchrząknął głośno. - Czy mógłbym zaproponować...

- Żebyśmy odsunęli te liny? Ależ oczywiście. To znakomity pomysł. Lizzie sama odsunęła stojaki połączone aksamitnymi sznurami. Sam Martin miał teraz wygodny dostęp do łóżka.

- Doskonale - oznajmiła z uśmiechem starsza pani, kiedy syn ostrożnie położył ją na łóżku. - Jesteś taka miła - zwróciła się do Elizabeth.

- Jak się pani teraz czuje?

Staruszka drobnymi palcami pogładziła atłasową kape, pokrywającą materac.

- Cudownie.

- Myślę, że powinniśmy wezwać lekarza - przypomniał Sam Martin.

- Bzdura - zaprotestowała jego matka. - Nic mi nie jest, Sam.

- Zemdlałaś. Leżysz w obcym łóżku.

- To nie jest obce łóżko, mój drogi. - Na chwilę zawiesiła głos i rzuciła w stronę Elizabeth porozumiewawcze spojrzenie. - To łóżko królowej Elżbiety.

- Z przykrością muszę panią rozczarować - zaczęła zdecydowanie Elizabeth, ignorując ciche chrząkanie Rucklesa. - To nigdy nie było łóżko królowej Elżbiety, ale to piękny, szesnastowieczny...

- Ależ było. - Pani Martin spojrzała na portret. - Jestem pewna, że ten pokój bardzo jej się podobał.

Elizabeth nie wiedziała, co powiedzieć. Longford House był udostępniany turystom dopiero trzeci sezon, ale zdążyła już zauważyć, że

Amerykanie czasami zachowują się w sposób bardzo egzaltowany. I to z byle powodu.

- Mamo, chyba powinnaś teraz odpocząć. - Syn poklepał staruszkę po ręce.

- Jezus Maria - jęknęła nieoczekiwanie druga starsza pani. - Jeśli choć minutę spóźnimy się do autokaru, panna Dianne będzie wściekła.

- Poinformujemy ją o opóźnieniu - obiecała Elizabeth, dając znak głową Rucklesowi.

Ruckles uniósł głowę i obrzucił wszystkich zgromadzonych chłodnym spojrzeniem.

- Pani wybaczy, ale jestem w połowie rozdziału trzeciego.

- To może chwilę zaczekać.

Lokaj wydał głośnie, teatralne westchnienie.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, o której mieli państwo spotkać się z panną Dianne?

- O czwartej. Prawda, Sam?

- Tak.

Lokaj, wyraźnie zde gustowany całym zajściem, skinął głową.

- Dopilnuję, by została poinformowana o tym, hm, kłopotcie.

- Jak daleko jesteśmy od Londynu? - spytał pan Martin.

- Jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów - odparła Elizabeth.

Zauważyła, z jak bardzo przystojnym mężczyzną ma do czynienia. I w dodatku czułym - widziała niepokój w jego ciemnobrązowych oczach, widziała, z jakim przejęciem zajmuje się matką. Przez moment zastanawiała się, jak by to było, gdyby ją ktoś tak kochał, ale szybko odsunęła tę myśl. Na miłość i małżeństwo z idealnym mężczyzną dopiero przyjdzie czas.

Kobieta z laską siedziała na krześle przy drzwiach i nerwowo stukała palcami w broszurę. Sam Martin opuścił na chwilę matkę i nachyliwszy się nad nią, powiedział coś prawie szeptem. Kobieta skinęła głową, więc pan Martin ostrożnie pomógł jej się podnieść, podprowadził ku drzwiom i oddał pod opiekę Rucklesa.

Elizabeth zauważyła, że wyraźnie był przyzwyczajony do rządzenia ludźmi i wydawania im poleceń. Kiedy podszedł do niej, miała tylko nadzieję, że w stosunku do niej zachowa się inaczej.

- Dziękuję za pomoc - rzekł.

- Bardzo proszę - udało jej się wyjąkać.

Sam był bardzo wysoki i z bliska jeszcze przystojniejszy. Wydatne kości policzkowe, ciemne brwi i pięknie wykrojone usta tworzyły pociągającą kombinację. Był silny i opalony, jak ktoś, kto pracuje na świeżym powietrzu.

- Majeranek - oznajmiła pani Martin, otwierając oczy i zwracając się do Elizabeth. - To właśnie ten zapach. Czy coś gotujesz, moja droga?

- W tej chwili nie. - Elizabeth wciągnęła nosem powietrze. - Nic nie czuję, proszę pani. A kuchnie są daleko.

Starsza pani zmarszczyła brwi.

- No, ale dzięki Bogu, już tak mocno nie pachnie.

- Goście zaczynają się zjeżdżać, proszę pani - oznajmił stając w drzwiach Ruckles.

To oznaczało, że Elizabeth powinna ich powitać. Spodziewają się autentyczności i to właśnie dostaną. Ten cholerny Anthony. Wiedziała, że nie można na nim polegać, ale nie miała wyboru. A od tego weekendu przecież tak wiele zależało.

Elizabeth nachyliła się i poklepała delikatną rękę pani Martin.

- Proszę odpoczywać, jak długo będzie pani potrzebowała. Przyślę pani herbatę. Ruckles, czy możesz dopilnować, by pozostali goście nie przeszkadzali pani Martin?

Lokaj obrzucił ją surowym spojrzeniem.

- Herbata? Tutaj, proszę pani?

- Jestem pewna, że w ciągu minionych pięciuset lat nie raz podawano herbatę w tym pokoju. Bardzo mi przykro, że nie mogę pani towarzyszyć, ale mam dużo zajęć - zwróciła się do pani Martin. - Proszę odpoczywać.

- Dziękuję, moja droga. Jesteś taka kochana. Elizabeth odwróciła się ku jej synowi, który, jak się okazało, stał niebezpiecznie blisko.

- Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dać znać pokojówce albo Rucklesowi.

- Czy mógłbym gdzieś wynająć samochód?

- Ruckles się zorientuje, ale jesteśmy dość daleko od miasta. Może pańska matka do czwartej poczuje się lepiej.

- Może.

- Przepraszam pana - powiedziała, chcąc go ominąć.

- Ależ oczywiście. - Sam odsunął się. Potem przyjrzał jej się uważnie. - Czy pani zawsze się tak ubiera?

- Tak - odparła Elizabeth, unosząc dumnie głowę. - Turystom to się podoba.

Zdziwił ją jego śmiech.

- Tak, nie wątpię.

Elizabeth powstrzymała odruch, by podciągnąć wyżej głęboko wycięty stanik swojej sukni. Ominęła Sama i szybko wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jeszcze nigdy coś takiego się nie zdarzyło - oznajmiła panna Dianne, patrząc na Sama. - Nikt do tej pory nie wszedł do łóżka-ekspozycji i odmówił opuszczenia go. Tylko raz... - przewodniczka zamilkła, zamyśliła się, a Sam szybko zrobił krok do tyłu.

- Mojej matce też zdarzyło się to po raz pierwszy - rzekł.

- Mówi pan, że nie ma zamiaru wstać, tak?

- Zgadza się. Wciąż kręci jej się w głowie.

- Nie może zostać w tym łóżku. To bezcenny mebel. Longley House to nie Ritz, w którym można po prostu wynająć pokój na noc.

Sam dobrze o tym wiedział, ale nie podobał mu się sposób, w jaki przewodniczka to powiedziała. Jakby bardziej obchodziło ją łóżko niż zdrowie jego matki.

- Zostanie w nim, dopóki nie poczuje się lepiej. Dianne westchnęła i zwróciła się do Betsy.

- Czy chciałaby pani, żebym wezwała lekarza? Moglibyśmy przewieźć panią do szpitala.

- Nie, dziękuję - odparła ze sztucznym uśmiechem starsza pani, ale przewodniczka bynajmniej nie dała się zwieść.

- Ależ pani Martin, na pewno zdaje sobie pani sprawę, że nie może zostać w tym szesnastowiecznym łożu. To po prostu nie wypada.

- Droga Dianne - powiedziała cicho i spokojnie pani Martin. - Naprawdę nie czuję się na siłach, żeby z tobą dyskutować. Sam się wszystkim zajmie. Nie musisz się... martwić.

- Ale jeśli nie poczuje się pani lepiej do naszego wyjazdu, będziemy musieli wezwać karetkę. Takie są nasze przepisy.

- Już się nad tym zastanawiałem - wtrącił się Sam - ale mama poczuła się lepiej. Mamy jeszcze czas - dodał, spoglądając na zegarek.

- Tak - zgodziła się Dianne. - Zajrzę tu o pół do czwartej. Mam nadzieję, że twoja matka w pełni odzyska siły, a jeśli nie, to wezwiemy lekarza. Nie mogę opóźnić wyjazdu; zresztą Longley House zamykają o czwartej.

- Nigdy bym się nie ośmieliła opóźnić wycieczki - oznajmiła pani Martin.

- Może uda się pani dołączyć do nas w Bath.

- To dobry pomysł. Jedźcie i nie oglądajcie się na nas. Sam był tego samego zdania. Będą mogli pojechać prosto do Londynu, pójść do lekarza i pierwszym samolotem wrócić do domu.

W odróżnieniu od niego, Betsy bawiła się znakomicie. Jej „przeznaczenie” ubrane było w biały muślin i kremowe perły, a na twarzy miało anielski uśmiech. Lady Elizabeth, o królewskiej postawie i arystokratycznym wdzięku, zaprosiła ją do Longley House i przyrzekła, że pokojówka spełni każde jej życzenie.

Betsy była w siódmym niebie.

Wszystko to przytrafiło jej się w błękitnym pokoju. Owszem, trochę jeszcze kręciło jej się w głowie, szczególnie jeśli zbyt gwałtownie nią poruszyła, ale duszny zapach jakichś ziół czy czegoś w tym rodzaju nie był już taki intensywny. Lokajowi udało się otworzyć okno, a pani domu obiecała jej herbatę. Opętana seksem przewodniczka opuściła w końcu pokój, dając słowo, że poleci, by wyjęto z autokaru ich bagaże.

- Czy czujesz jakiś ból w piersiach?

- Nie, Sammy. - Betsy pokręciła głową. - Ani trochę. To wszystko było takie dziwne...

- Proszę pani? - Do pokoju weszła pokojówka z zastawioną tacą. - Lady Liz powiedziała, że ma pani ochotę na herbatę.

Sam skrzywił się, kiedy matka usiadła, ale wsunął jej pod plecy kilka zakurzonych poduszek.

- Przydałoby się zrobić tu trochę porządku - mruknął.

- To łóże jest bardzo stare, naprawdę - wtrąciła się pokojówka. - Mówią, że sama królowa Elżbieta I spała w tym pokoju, ale to tylko legenda.

- Nigdy tu nie była?

Pokojówka postawiła tacę na stoliku i naląła Betsy filiżankę herbaty.

- Nie, proszę pani. Zdaje się, że odwiedziła inną posiadłość Longfordów, Bates Hall, i to wiele razy, ale tu była wiejska rezydencja starego lorda, a on niezbyt lubił towarzystwo. Życzy sobie pani cukier i śmietankę?

- Poproszę o cukier. Jedną kostkę.

- A pan? - Pokojówka naląła herbatę do filiżanki i czekała.

- Nie, dziękuję.

- Ależ Sam. Nigdy więcej nie będziesz miał okazji, by wypić herbatę w takim miejscu.

Pokojówka wciąż czekała na decyzję Sama. Przystawił sobie krzesło blisko łóżka i usiadł przy matce.

- Wobec tego proszę o herbatę z cukrem - rzekł i podziękował pokojówce. - Jeśli chcesz wiedzieć, to wcale mi na takiej okazji nie zależy

- zwrócił się do matki.

- Proszę spróbować też ciasteczka. I bułeczki lady Elizabeth.

Betsy spojrzała na pachnące drożdżówki.

- Sama je piecze?

- Tak, proszę pani. Cudownie.

- Czy życzy pani sobie czegoś jeszcze?

- Nie, dziękuję. Proszę powiedzieć lady Elizabeth, że jesteśmy bardzo wdzięczni za gościnę.

- Przekażę. Jest teraz trochę zajęta, bo wie pani, przyjeżdżają goście na weekend i w ogóle.

Betsy i Sam równocześnie pociągnęli łyk herbaty.

- Prowadzi ożywione życie towarzyskie?

- To nie życie towarzyskie, to praca - uśmiechnęła się już w drzwiach pokojówka. - Lady Elizabeth częstuje herbatą i słodyczami, i w ogóle.

Wszyscy z przyjemnością poznają panią na włościach.

Co powiedziawszy, pokojówka zniknęła za drzwiami, lecz jeszcze długo słyhać było stukot jej obcasów na marmurowych płytkach.

- Uważam, że jednak powinniśmy wezwać lekarza - rzekł wyraźnie zaniepokojony Sam. - Naprawdę nic cię nie boli w piersiach?

- Naprawdę. Po prostu spojrzawszy na ten portret, dziwnie się poczułam.

- Nie mów, że na starość coś ci się porobiło w głowie.

- Zawsze byłam kobietą praktyczną - poinformowała syna pani Martin. - Nieczęsto zdarzało mi się mdleć.

- I właśnie to mnie martwi. Jak tylko wrócimy do Londynu, pójdziemy do lekarza.

- Za kilka dni będziemy w domu. Tyle mogę poczekać. Zresztą wolę iść do swojego lekarza. Jestem za stara, żeby ktoś obcy mnie obstukiwał.

- Zobaczymy. Jeśli jeszcze raz coś takiego się zdarzy, to na pewno zostaniesz zbadana. Niezależnie od tego, gdzie będziemy.

- Dobrze - zgodziła się pani Martin. Chciała ugłaskać syna i zmienić temat na przyjemniejszy. Na przykład związany z miłością. - Co myślisz o lady Lizzie?

- To brzmi jak imię suczki rasy collie. „Lizzie, do nogi!”

- Sam!

- Wydaje się bardzo... uprzejma. Pozwoliła obcej osobie położyć się w swoim zabytkowym łożu, no, ale może po prostu wolała uniknąć sprawy sądowej.

- Nie wiedziałam, że potrafisz być taki cyniczny.

- Może się zmieniam. Już nie jestem taki miłutki. - Sam kilkoma szybkimi łykami dopił herbatę. - Marzę o filiżance dobrej kawy i założę się, że ty też.

- Zaczynam się powoli przyzwyczajać do herbaty. Weź bułeczkę. Sam posłusznie spełnił jej prośbę.

- Jeśli wierzyć pokojówce, upieczoną przez księżniczkę osobiście.

- Jeszcze w coś nie wierzysz?

- Jeśli pani tego domu kłała swe rączki w kuchni tego mauzoleum, to muszę to zobaczyć na własne oczy, zanim uwierzę. - Sam spojrzął na zegarek. - Autokar odjeżdża za godzinę. Na pewno wolisz jeszcze nie jechać? Spędzilibyśmy noc w miłym i czystym hotelu, a pojutrze po południu byłibyśmy już w Londynie.

- Chyba nie dałabym rady wdrapać się teraz do autokaru. - Prawdę mówiąc, na samą myśl o autokarze robiło jej się niedobrze.

- Porozmawiam z Dianne i dowiem się, czy jest tu we wsi jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spędzić noc. Może ten dziwny lokaj powie mi, jak wynająć samochód.

- Dobrze. - Betsy odstawiła filiżankę na tacę. - Chyba się chwilę zdrzemnę.

- Czy mogę cię zostawić samą?

- Wolalabym nie. Lepiej się będę czuła, jeśli zostaniesz, przynajmniej jeszcze trochę - dodała, patrząc uważnie na portret królowej.

- W porządku.

Betsy wsunęła się pod wełniany pled, który przyniosła jej pokojówka.

- Co się dzieje z Grace?

- Ruckles zaprowadził ją do reszty grupy. Obiecałem, że powiem jej, jak się czujesz.

Betsy zamknęła oczy i zastanawiała się, skąd wróżka mogła to wszystko wiedzieć.

- Tobie też ktoś powinien kiedyś postawić tarota, Sammy.

- Nie spotkałaś swego przeznaczenia, mamo.

Pani Martin udała, że śpi. Chciała się w spokoju zastanowić.

Owszem, spotkała już swoje przeznaczenie i teraz musi tylko właściwie wykorzystać powstałą sytuację.

Elizabeth przystanęła w wyłożonym biało-czarnymi płytkami holu przed salą balową. Nasłuchiwała szumu rozmów i delikatnego brzęku filiżanek.

- Pytano już o panią - powiedziała wychodząca właśnie z sali Pattie.

- No to jestem. Mieliśmy mały kłopot.

- Słyszałam. Co ma pani zamiar zrobić?

- Oczywiście wyłączyć błękitną sypialnię ze zwiedzania. Zamkniemy drzwi i do wyjazdu tych Amerykanów powiesimy na nich tabliczkę „W renowacji”. Gdzie Anthony?

Pattie, starsza siostra Peggie, wzniosła oczy do góry.

- Ani śladu po nim, proszę pani.

- Powinien być już godzinę temu. - Potrzebny był jej jakiś lord Longford i to szybko. - Przywitam gości, naleję im herbatę, a potem pokażę im ich pokoje.

- A co z lordem Longfordem?

- Powiem, że coś go zatrzymało. Interesy.

- Tak jest, proszę pani. - Pattie wcale nie była spokojniejsza.

- Nie martw się, Pattie. Damy sobie radę. Przecież całą zimę to planowałyśmy. Jeśli agentom biur podróży spodoba się pomysł pod tytułem „Prawdziwe życie w Longley”, to wszystko się tu zmieni. Na lepsze, oczywiście.

Lizzie przez ostatnie dwa lata próbowała obronić Longley przed sprzedażą. Spędziła niezliczone godziny błagając powierników majątku dziadka, by dali jej szansę ocalenia rodzinnej posiadłości.

Ponieważ była jedyną pozostałą przy życiu spadkobierczynią zainteresowaną ocaleniem domu, siwowłosi dżentelmeni nie mieli właściwie wyboru. Z przyjemnością opóźnili to, co wydawało im się nieuniknione - sprzedaż Longley, co byłoby najlepszym rozwiązaniem.

Lizzie weszła majestatycznym krokiem do sali i powitała swoich gości. Było tam dziesięć przedstawicielek biur podróży ze Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Lizzie zapamiętała ich nazwiska i zawody, ale wiedziała, że połączenie twarzy z nazwiskami zajmie jej trochę czasu. Barbara Canfield,

wysoka pani ze srebrnymi włosami, mieszkała w Nowym Jorku. Dorla Long z Bostonu wesoło rozglądała się po sali. Karen Carmichael i Melissa Lee, profesorki historii z Yale, które organizowały letnie wycieczki, były ciche i samowystarczalne. Phyllis Nolan, spokojna blondynka, organizowała wycieczki dla studentów. Rhonda Cummings, starsza pani w typie babci, była właścicielką jednej z popularniejszych agencji nowojorskich. Nancy Mack miała sieć agencji w północno-środkowych stanach, Jackie Bertrand reprezentowała firmę wydającą przewodniki turystyczne. Ellen Lizotte i Marje Fridrich były z biura podróży z Phoenix.

Lizzie odpowiadała na ich pytania dotyczące domu, dolewała im herbaty, a potem zaprowadziła je do ich pokoi we wschodnim skrzydle. Dzięki upodobaniu prababki do wygody, pokoje gościnne były duże i pięknie umeblowane. Gotownie pięćdziesiąt lat temu przerobiono na łazienki i była nadzieja, że rury jeszcze trochę wytrzymają.

Goście, jak dotąd, byli wszystkim zachwyceni, więc Lizzie pozwoliła im się rozpakować, a sama udała się na poszukiwania jedyne go brakującego w czasie tego weekendu elementu - męża.

Amerikanin właśnie rozmawiał przez telefon w jej biurze, ale sądząc po wyrazie jego twarzy, nie udało mu się znaleźć żadnego auta.

- Jutro? - skrzywił się. - Naprawdę muszę mieć coś dzisiaj.

Przez chwilę słuchał, potem zapisał coś na kartce, podziękował rozmówcy i odłożył słuchawkę.

- Jakies kłopoty? - spytała Elizabeth.

- Owszem. Czy jest tu w okolicy jakieś miejsce, gdzie matka i ja moglibyśmy spędzić noc? Jakiś pensjonat czy hotel?

Elizabeth przez chwilę się zastanawiała.

- Mam gdzieś taką listę, ale jest teraz początek września. Sezon właściwie już się skończył, więc właściciele zamykają obiekty. Z wyjątkiem tych, w których jest pełna rezerwacja.

- Cholera. Grupa odjechała bez nas, mama nadal śpi sobie spokojnie na górze, a ja jestem uwięziony w środku Anglii bez samochodu.

- Wie pan co, spróbujemy coś znaleźć. - Elizabeth wyraźnie mu współczuła i chciała pomóc. - Zadzwoń tylko do Londynu i zaraz poszukam tej listy.

- Dzięki.

Sam odsunął się od biurka, ale nie wyszedł z pokoju. Lizzie odwróciła się do niego plecami i nakręciła numer Anthony'ego. Odetchnęła z ulgą, kiedy po trzecim dzwonku ktoś podniósł słuchawkę.

- Anthony?

- Przykro mi, kochana, ale nie ma go tutaj - odparł jakiś rozbawiony damski głos. - Mam mu coś przekazać?

Elizabeth chętnie przekazałaby mu niejedno, ale się powstrzymała.

- Proszę mu przypomnieć, żeby skontaktował się z Longley House, dobrze?

- Oczywiście, jak tylko wróci, ale ma jakąś robotę w Tunezji.

- Dziękuję.

Lizzie gwałtownie odłożyła słuchawkę i wzięła kilka głębokich, uspokajających oddechów. Przecież od zawsze wiedziała, że Anthony nie dotrzymuje obietnic. Teraz nie powinna się dziwić.

- Złe wiadomości?

- Tak. - Lizzie odwróciła się i zmusiła do uśmiechu. - Mój były mąż zapomniał, że miał tu być w ten weekend.

- Często zaprasza pani byłego męża w odwiedziny?

- Byliśmy małżeństwem tak krótko, że nie zdążyliśmy się znienawidzić - wyjaśniła. - Miał udawać mego męża.

Sam był wyraźnie zdziwiony.

- Przed agentkami biur podróży - odparła. - Uznałam, że weekendy spędzane w prawdziwej angielskiej posiadłości mogą mieć dla turystów pewien urok. Zaprosiłam przedstawicielki większych firm ze Stanów i Kanady, żeby zobaczyły, co możemy zaoferować.

- Łącznie z fałszywym lordem?

- Zdziwiłby się pan, jak bardzo jest prawdziwy. Damy byłyby nim zachwycone.

- Tak często bywa. To w ten sposób została pani lady Longford? Myślałem, że jest pani z rodziny.

- Jestem. Jak czuje się pańska matka? - Elizabeth zmieniła temat.

- Wciąż śpi.

Elizabeth przerzuciła stertę papierów na biurku, aż znalazła jakąś broszurę.

- Proszę, to lista noclegów z okolicy. Może nie jest całkiem aktualna, ale coś powinien pan znaleźć.

- Dziękuję. Czy mógłbym stąd zadzwonić?

- Bardzo proszę.

- Dzięki - odparł, znów dokładnie przyglądając się jej sukni. - Jaki to ma być wiek?

- Chodzi panu o suknię? Sam skinął głową.

- Koniec osiemnastego, początek dziewiętnastego.

- Jane Austen.

- Tak. Znów jest bardzo popularna.

- Podobno.

- Muszę pana przeprosić. Goście czekają.

A jednak wcale nie miała ochoty wychodzić z tego pokoju. Sam Martin, w błękitnych obcisłych dżinsach, był bardzo seksowny. I bardzo pociągający.

- Bez lorda, jak mu tam?

- Anthony, lord Longford.

Może to te brązowe oczy. Była w nich czułość, ale i radość. No i te ramiona - silne, męskie, opalone.

- To pewnie bardzo nieprzyjemne być wystawioną do wiatru przez byłego męża.

- Bywało gorzej - odparła Elizabeth i szybko wyszła z pokoju.

- Przyjechał? - szepnęła pokojówka do kogoś, kto właśnie wszedł do pokoju.

Odpowiedział jej podobny głos, z takim samym irlandzkim akcentem.

- Nie. I wygląda na to, że nie przyjedzie.

Betsy nie otwierała oczu. Udawała, że śpi. O czym te pokojówki mówią?

- Czy lady Liz jest bardzo zła?

- Zawsze był taki nieodpowiedzialny - szepnęła druga panna i Betsy usłyszała cichy brzęk filiżanek oraz czyjeś kroki, oddalające się od łóżka.

Musiała dowiedzieć się, o co chodzi, więc otworzyła oczy i cichutko jęknęła, żeby pokojówki ją usłyszały.

- O, nie śpi już pani? Lepiej się pani czuje?

- Troszeczkę - przyznała Betsy.

Zbyt szybkie ozdrowienie byłoby bez sensu. Oparła się o podłożone przez pokojówkę poduszki.

- Ty jesteś Peggie czy Pattie?

- Pattie, psze pani. Tak lepiej?

- Bardzo ci dziękuję.

Więc tak się czuje człowiek obsługiwany przez służbę. Betsy uważnie spojrzała na portret Elżbiety I. Ta kobieta umiała kierować swoim przeznaczeniem. Warto się od niej tego nauczyć.

- Bardzo proszę.

- Powiedz mi, Pattie, z kim przed chwilą rozmawiałaś?

- Z siostrą. Właśnie skończyła pomagać innym gościom.

- Kim jest ten mężczyzna, który nie przyjechał? To brzmiało tak tajemniczo.

- E tam. - Pattie przysiadła na stojącym obok łóżka krześle. - Jak to dobrze na chwilę usiąść. Od rana jestem na nogach.

- No więc, na kogo czeka lady Liz?

- Na lorda Anthony'ego - westchnęła pokojówka. - Kiedyś byli małżeństwem, ale nie trwało to długo. Miał jej pomóc w ten weekend, odegrać przed gośćmi pana tego domu.

Betsy dopiero po chwili zadała następne pytanie.

- Dlaczego?

- Taki jest pomysł. Lord i lady, weekend w wiejskiej posiadłości i tak dalej. Lady Liz mówi, że to eksperyment. Jeśli się uda, będziemy mieli dość pieniędzy, żeby utrzymać ten dom. Lady Liz mówi, że musimy wymyślić coś specjalnego, coś, co odróżni nas od innych. I lord Anthony obiecał jej w tym pomóc.

- A jeśli eksperyment nie wypali? Pokojówka westchnęła.

- Lady Liz nawet nie chce o tym mówić. Są chętni gotowi kupić tę posiadłość i przerobić na hotel.

- Ale to przecież jej dom.

Betsy znów spojrzała na portret. Miała wrażenie, że królowa patrzy jej prosto w oczy i zachęca do rozwiązania tego problemu.

- Chyba już pójdę. - Pattie wstała. - Goście wypili herbatę i są teraz w swoich pokojach. Musimy jeszcze ich oprowadzić po domu i podać kolację.

- A na dodatek ja przysparzam wam więcej pracy. Bardzo przepraszam.

- To nie pani wina, że pani zemdląła. Niech pani zdrowieje. Szkoda, że autokar odjechał bez pani.

Wcale nie. To było przeznaczenie. Los. I może niskie ciśnienie.

- Wdziałaś mego syna?

- Niedawno był na dole. Chyba obdzwaniał hotele. Pani syn jest bardzo przystojnym mężczyzną.

To niesamowite, skąd biorą się pewne pomysły. Tak nagle ni z gruszki, ni z pietruszki.

- Nie uważasz, że wygląda jak... lord? Pattie zawahała się.

- Chce pani powiedzieć, że...

- Pattie! Jesteś potrzebna w kuchni. - W drzwiach stanął Ruckles.

Pokojówka szybko zerwała się z krzesła.

- Lady Liz przydałby się jakiś cud.

- Lady Liz przydałoby się coś więcej niż cud, Pattie. Przydałoby jej się mężczyzna.

- Mowy nie ma.

Sam obstawał przy swoim. Nie miał zamiaru więcej pomagać żadnym kobietom - wystarczył mu autokar pełen staruszek. Nie pozwoli znów się wykorzystać. Choćby nie wiadomo jak piękna kobieta go błagała.

Na razie miał do czynienia tylko z matką. Ale jej też nie miał zamiaru ulec.

- Proszę cię, Sam.

- Nie.

- W takiej sprawie naprawdę warto pomóc.

- To po tym zemdleniu, co? - Sam rzucił okiem na portret, a potem na matkę. - Musiało ci obumrzeć sporo komórek w mózgu. Nie jesteś sobą.

- Jestem w znakomitej - no, prawie znakomitej, formie - oznajmiła Betsy. - Z moją głową wszystko w porządku.

- Starsza pani skrzywiła się, siadając na brzegu łóżka. - Czuję się tylko trochę... słaba.

Sam wcale nie był tym zachwycony.

- Bardzo słaba?

- Troszeczkę. Na samą myśl o zejściu z tych schodów...

- Zniosę cię.

- I wejściu do samo...

- Ogrodnik zawiezie nas do hotelu leżącego jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na południe stąd. Mieszka w pobliżu i chętnie nas podrzuci.

Betsy zasmuciła się.

- Polubiłam to łożo.

- Nie możesz leżeć w czymś tak brudnym.

- Wcale nie jest brudne, tylko stare. I jestem pewna, że spała w nim królowa.

- Królowa? - zainteresował się ktoś stojący za jego plecami. - Która? Sam odwrócił się i ujrzał w progu grupę kobiet. Jedna z nich, imponująca srebrnowłosa pani z jakimś notatnikiem, przyglądała się Betsy z zaciekawieniem.

- Która królowa spała w tym łóżu? - powtórzyła, szykując się do zanotowania otrzymanej informacji.

- Oczywiście, że Elżbieta I - odparła bez mrugnięcia okiem Betsy.

- Mamo - ostrzegł ją Sam, ale matka zupełnie go zlekceważyła.

- Ależ to cudowne - powiedziała dama i zapatrzyła się na portret.

Towarzyszące jej trzy panie podziwiałały meble i obicia. - Nie miałam pojęcia.

- Wiele osób o tym nie wie.

- Czy przypadkiem pani nie przeszkadzamy? Nie wiedziałyśmy, że to pokój prywatny - odezwała się jedna z kobiet.

- Bo nie jest - wtrącił się Sam. - Mama poczuła się źle i musieliśmy...

- Musieliśmy wszystko inaczej zorganizować - dokończyła za niego Betsy. - Ale to piękny pokój. Prawda?

Kobiety kiwnęły głowami, a najstarsza zapisała coś w notesie.

- To wspaniałe, że rodzina nadal używa tego domu. Bo państwo są rodziną, prawda?

- Nie - znów wtrącił się Sam. - My...

- Daj spokój, kochanie. - Betsy naprawdę była nie zrażona. - Panie są naszymi gośćmi, prawda? Z biur podróży? Jesteśmy zachwyceni, że mogły nas panie odwiedzić w ten weekend. Lady Elizabeth zaplanowała tyle rozrywek.

- A pani jest...? - Srebrnowłosa dama zawiesiła głos.

- Też Elżbieta - odparła skromnie Betsy. - A to mój syn, lord Longford.

- Co? - Sam był pewien, że się przesłyszał.

Kobiety otworzyły szeroko oczy. Jedna z nich nawet dygnęła.

- Nie jestem... - próbował wyjaśnić, lecz wtedy matka ujęła go za rękę.

- Sam, kochanie, znowu się źle poczułam. Mógłbyś poprosić Pattie, żeby przysłało herbatę?

- Nie mówią państwo jak Brytyjczycy - zauważyła kobieta z notatnikiem. - Kształcił się pan w Stanach?

- Mieszkaliśmy tam przez wiele lat - wyznała Betsy. - Problemy rodzinne. Wiedzą panie, jak to jest. To bardzo skomplikowane.

Cztery kobiety kiwnęły głowami. Każdy wie, jak skomplikowane bywa życie rodzinne.

- Powinnyśmy zostawić panią w spokoju. Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej.

- Dziękuję, moja droga. Bawcie się dobrze w Longley.

- Dziękujemy.

Zanim Samowi udało się wyprowadzić kobiety i namówić matkę na wyjazd z tego zwariowanego domu, do pokoju wpadła Lizzie, zupełnie nieświadoma wpływu, jaki jej półnagi biust może mieć na mężczyznę. Szyję kobiety otaczał naszyjnik z pereł, w uszach wirowały małe kolczyki.

- Pani Canfield? Pani Long? Szukaliśmy pań. Baliśmy się, że panie gdzieś tu zabłądziły.

- Ależ nie, lady Elizabeth. Złożyłyśmy tylko wizytę pani teściowej:

- Mojej teściowej?

- Kochanie, popatrz, wciąż jestem w tym łóżku - wtrąciła szybko Betsy. - Twoi goście przyłapali mnie w niezręcznej sytuacji.

Sam odchrząknął, by odzyskać głos. Chłodne blondynki zawsze mu się podobały i ta nie była wyjątkiem.

- Wszystko wyjaśnię - rzekł. - Zaraz nas tu nie będzie.

- Nie będzie? - zdziwiła się pani Long. - Dlaczego? Oczywiście Betsy знаła odpowiedź.

- W tym pokoju, kochana, nie w Longley House! Lizzie uśmiechnęła się do czterech pań, zachwyconych poznaniem lorda Longforda i jego matki.

- W bibliotece podano herbatę. Jeśli mają panie ochotę, Ruckles wskaże drogę.

- Zupełnie jak w serialu „Duma i uprzedzenie”. Ależ się wszyscy zdziwią, kiedy powiem im, że poznałam lorda - westchnęła jedna z kobiet.

- Ja wolałam „Emmę” - przedstawiła swe zdanie srebrnowłosa.

Pozostałe kiwnęły głowami i posłusznie opuściły pokój.

- Cudownie - westchnęła Betsy, kiedy zostali tylko we trójkę. Lizzie zamknęła drzwi i podeszła do łóżka.

- Co się tu, u licha, dzieje?

- Moja matka najwyraźniej straciła rozum. Betsy poklepała Elizabeth po ramieniu.

- Masz czarujących gości.

- Te panie nie powinny tu wchodzić.

- I nie powinno się ich okłamywać - zauważył Sam. - Co ja mam z tobą zrobić?

- Kochanie, nie irytuj się - Betsy skarciła syna, a potem zwróciła się do Lizzie: - Potrzebny ci był lord Longford na ten weekend, prawda?

- Nie rozumiem.

- Pokojówka o wszystkim mi powiedziała, więc pomyślałam sobie, że mój syn - a przyznasz, że ma prawdziwie majestatyczny wygląd - mógłby zagrać rolę lorda. To rozwiązałoby wszystkie nasze problemy.

- Nasze? - zdziwił się Sam. - Ja nie mam żadnych problemów.

- Utknął pan w środku Anglii z chorą matką, która mdleje na widok królowej Elżbiety i opowiada obcym, że jest matką lorda. Moim zdaniem to poważny problem - zauważyła kwaśno Elizabeth.

Miała, niestety, rację.

- Zaraz ją stąd zabiorę - zapewnił. - Natychmiast.

Ogrodnik podrzuci nas do hotelu w South Middletown. Oboje chcemy pani bardzo podziękować za cierpliwość i pomoc.

- Ależ Sam, nie bądź taki oficjalny - oburzyła się Betsy. - Lady Elizabeth potrzebuje na ten weekend pomocy. Ty jesteś odpowiedzią na jej modlitwy.

- Ależ proszę pani...

- To naprawdę żaden problem. Sam będzie idealnym lordem.

Elizabeth rzuciła w stronę Sama błagalne spojrzenie.

- Nie, nie zgadzam się - odrzekł. - Wyjeżdżamy stąd natychmiast, zanim narobimy naszej gospodyni dalszych kłopotów.

Lady Elizabeth obejrzała go uważnie od stóp do głów. Potem pokręciła głową.

- Jest zbyt amerykański. No i ten akcent.

- Możesz powiedzieć, że lord Longford kształcił się w Bostonie - zaproponowała Betsy. - W ogóle dużo podróżuje, prawdziwy Longford.

- Co to znaczy „zbyt amerykański”? - zainteresował się Sam.

Elizabeth wyraźnie nie chciała go urazić.

- To kwestia sposobu zachowania. Czy potrafiłby pan być trochę bardziej oschły? Może nawet znudzony?

Sam spojrzał prosto w jej błękitne oczy.

- Nie.

Betsy z zachwytem klasnęła w ręce.

- Widzisz? Jeśli chce, potrafi być wyniosły.

- Nie byłem...

- A może... - Elizabeth w milczeniu oceniała jego figurę. - Nie wiem, czy ubranie będzie pasowało.

- Nie będę nosił żadnego kostiumu i nie będę udawał lorda.

Lizzie odwróciła się do Betsy.

- No to załatwione. Czego chce pani w zamian?

- Błękitnego łoża na weekend. Obsługi pokojówki. Odwiezienia na najbliższą stację w niedzielę po południu i roli twojej teściowej.

Oczywiście - tu rzuciła okiem na Sama

- jeśli będę się dość dobrze czuła.

- Obawiam się, że nie mam wyboru. Pokażę panu pański pokój - zwróciła się do Sama. - Kolacja jest o siódmej. Będziemy potrzebowali godziny czy dwóch, żeby wyedukować pana w sprawach Longley, ale proszę się nie martwić. Ja będę odpowiadała na większość pytań. Pan będzie po prostu z uprzejmą miną siedział przy stole.

- Nie chcę tego robić - spróbował jeszcze raz Sam.

- Pańska matka nas w to wpakowała. Nie mam zamiaru wyjść na idiotkę czy kłamczuchę wobec ludzi, którzy mogą pomóc mi w interesach.

- Lizzie wyciągnęła do niego rękę.

- Umowa stoi, panie Martin?

- Mów do mnie Sam.

Jej ręka była ciepła i delikatna. Ale tego się przecież spodziewał.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Muszę się czegoś napić - oznajmił nowy lord.

- Chodź za mną.

Uznawszy, że obojgu im należy się chwila relaksu, Lizzie zaprowadziła go na dół do biblioteki. Zadzwoiła na Rucklesa, który zjawił się tak błyskawicznie, że przez chwilę zastanawiała się, czy lokaj, zamiast zajmować się gośćmi, przypadkiem nie szukał materiałów do swojej książki. Na drzwiach do błękitnej sypialni nie było tabliczki z napisem „Zamknięte”. Goście chodzili sobie po domu i mogli przecież chcieć zadać jakieś pytania.

- Czego byś się napił? - zwróciła się Lizzie do Sama.

- Szkockiej, jeśli masz. Ale tylko z odrobiną wody, bez lodu.

- Dobrze. Ja chyba wezmę kieliszek wina. Poproszę beaujolais.

Lokaj skinął głową i wyszedł.

- Czy to aktor, czy prawdziwy lokaj?

- Prawdziwy. Całe pokolenia lokajów o nazwisku Ruckles służyły w mojej rodzinie. Ten jednak nie chce być tylko i wyłącznie lokajem.

Lizzie zanurzyła się w skórzanym fotelu i wskazała mu taki sam naprzeciwno.

- To on powinien odegrać lorda.

- Myślałam o tym, ale goście już wcześniej widzieli go jako lokaja.

Może cię za to nauczyć typowego angielskiego sposobu bycia.

- Nie wątpię. Zresztą nic z tego nie będzie, zobaczysz. Jestem stolarzem, cieślą. - Wyciągnął przed siebie obie ręce. - Pomacaj.

Wolałaby, żeby użył innego określenia. Przed trzema laty, przez sześć miesięcy, była zamężna, ale jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie spojrział tak na nią i nie poprosił, żeby go pomacała.

Zresztą może na tym właśnie polegał problem z jej małżeństwem.

Lizzie ostrożnie dotknęła dłoni Sama. Były pełne odcisków, szorstkie i bardzo opalone.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

Ruckles odchrząknął i Lizzie drgnęła gwałtownie. Odsunęła ręce i oparła się o fotel. Lokaj postawił tacę na stoliku między nimi.

- Dzięki - rzekł Sam. - Czy ty masz w ogóle jakieś imię?

- Nie - odparł chłodno Ruckles.

- Pani Martin powiedziała naszym gościom, że jest moją teściową i że pan Martin jest lordem Longfordem. Przez weekend pan Martin będzie odgrywał rolę mojego... gospodarza Longley - wyjaśniła Lizzie, pociągając łyk wina.

- Pani chyba żartuje.

- Ani trochę. Pani Martin zostanie w błękitnej sypialni, a pan Martin... - przerwała, bo przecież jeszcze nie zastanawiała się, gdzie umieści Sama. Wszystkie sypialnie, w każdym razie te przygotowane dla gości, były zajęte.

- Tak, proszę pani?

- Właśnie się zastanawiam.

Sam wziął do ręki szklankę z whisky.

- Pozwól mi odjechać, póki jeszcze mogę. Wezmę mamę na plecy i wrzucę do auta. Masz chyba jakieś auto, prawda?

- Tak, ale...

- Nikt nie uwierzy, że jestem lordem Longfordem.

- Racja. Oczywiście, że nikt nie uwierzy - rzekł lokaj. - Nasi goście to bardzo inteligentni ludzie interesu.

Lizzie straciła nadzieję.

- Ojej, a mnie się to wydawało takim znakomitym pomysłem.

Samowi wyraźnie smakowała whisky.

- Mama cię zauroczyła. To się zdarza. Jak dojdiesz do siebie, zobaczysz, że to by się na pewno nie udało.

- Jeśli zawiodę te agentki, nie polecą mojej posiadłości swoim klientom.

- Nie znasz żadnych innych lordów czy książąt?

- Tylko takich po siedemdziesiątce.

Sam wzruszył ramionami i pociągnął łyk whisky.

- Lord to lord. Zaproś tu po prostu kilku najbliższych sąsiadów na drinka i niech twoi goście poobcują z nimi przez godzinę.

- Nie to im obiecałam. Muszę mieć gospodarza, kogoś, czyja obecność doda jeszcze trochę autentyczności.

Potrzebny był jej ktoś do pomocy, kiedy będzie zajęta w kuchni. Cholerny Anthony. Przecież obiecał, że pomoże. Mógł jej poświęcić choć jeden głupi weekend. Spojrzała na Sama.

- To znaczy ciebie. Ruckles odchrząknął.

- Jeśli mogę coś powiedzieć, proszę pani...

- Usiądź - rzekł Sam. - Napij się.

- Dziękuję panu, ale wolę stać - odparł lokaj i wymienił z Lizzie pełne zdziwienia spojrzenie.

- Jak chcesz, lecz na pewno przydałaby się nam opinia osoby trzeciej.

- Dżinsy i adidasy nie wchodzą w grę.

- Co takiego?

Lokaj prawie się uśmiechnął.

- Mówił pan o opinii osoby trzeciej.

- Rozumiem. - Sam spojrzał na swoje ubranie, a potem na Lizzie. -

Nie dość formalne, co?

- Moim zdaniem wyglądasz nieźle, ale nie zaszkodzi, jeśli włożysz coś bardziej... lordowskiego.

- Nie nadaję się na udawanie arystokraty - rzekł Sam.

- To już chyba ustaliliśmy. Na nic ci się nie przydam, więc jak tylko dopiję moją whisky - która zresztą jest znakomita - zabiorę matkę i wyjedziemy.

Ruckles kiwnął głową.

- Pije pan najlepszy gatunek dwunastoletniej whisky ze szkockich gór. Czy mogę coś powiedzieć?

- Oczywiście. - Sam pociągnął kolejny łyk. - Nigdy czegoś takiego nie piłem.

Lizzie zdała sobie sprawę, że zupełnie zapomniała o swoim winie. A obaj mężczyźni zapomnieli o włączeniu jej do rozmowy. Oparła się wygodnie i czekała na wypowiedź lokaja. Starszy mężczyzna miał prawie zadowoloną minę.

- Zgadza się, że nie przypomina pan angielskiego arystokraty. Ale z drugiej strony, Longley House na ten weekend bardzo potrzebuje gospodarza. A ponieważ lord Anthony nie mógł przybyć, a pani Martin jest unieruchomiona w błękitnej sypialni, wygląda na to, że mógłby się pan

jednak jakoś przydać lady Elizabeth. Przygotuję pana do odegrania roli lorda - dodał po krótkiej, dramatycznej pauzie. - Będzie się pan zachowywał tak, jak przystoi mężowi lady Longford.

Lizzie poczuła się niewyraźnie. Zbyt łatwo mogła sobie wyobrazić tego przystojnego Amerykanina jako swego męża, w każdym razie w sensie fizycznym.

- Ruckles!

Lokaj skinął głową.

- Nie jestem zachwycony, że lady Elizabeth musi uciec się do oszustwa, bo jest to poniżej jej godności. Odgrywając rolę jej męża spotka się pan z należnym szacunkiem, ale oczywiście...

- Wystarczy - przerwał mu ostro Sam i zwrócił się do Lizzie. - O czym on, do cholery, mówi?

- Musi być jakieś inne wyjście. Mogłabym zaprosić na kolację lorda Bartha. Jest trochę roztrzepany, ale naprawdę uroczy.

- Pani goście poznali już lorda Longforda - zauważył Ruckles.

- To przecież bez sensu - obstawał przy swoim Sam. Lizzie była odmiennego zdania.

- Potrzebuję pomocy. A ty, w pewnym sensie, wpadłeś tu w pułapkę.

- Wspaniale - rzekł Ruckles i ruszył ku drzwiom. - Zniosę bagaże pana Martina na górę.

- Zgadza się pan? - spytała jeszcze raz Lizzie.

- Mów mi Sam - odparł z westchnieniem. - Wygląda na to, że nie mam wyboru, prawda?

- Zawsze jest jakiś wybór.

- Ale nie wtedy, jeśli się ma Betsy Martin za matkę.

Betsy Martin w tej samej chwili stała przy oknie wychodzącym na tylne ogrody. Nadal kwitły w nich kwiaty, zieleniły się gęste krzewy. Angielski krajobraz to istny raj. Odwróciła się i, po raz nie wiadomo który, popatrzyła na portret królowej. Ostre spojrzenie władczyni wcale nie zbiło jej z tropu. W powietrzu unosił się lekki zapach majeranku, ale Betsy uznała, że jego źródłem jest obraz, a raczej emanujący z niego czar, a nie jakaś dziwna kombinacja składników farb, używanych w okresie elżbietańskim.

- Dobra, staruszek - mruknęła pod nosem. - Jeśli rzeczywiście nawiedzasz ten pokój, to masz idealną okazję, by to udowodnić.

Obraz pozostał na ścianie, ciała Betsy nie przeszedł żaden dreszcz. W pokoju panowała cisza. Królowa nie miała zamiaru się odzywać.

- Niech będzie. - Pani Martin pogodziła się z obojętnością władczyni.
- Mogę mówić za nas obie.

Spacerowała wolno po błękitno-złotym pokoju i zastanawiała się, jak wyglądałoby życie w takim przepychu. Była pewna, że wkrótce się dowie. Jej syn pomoże uroczej lady Elizabeth, a ta słodka dziewczyna na pewno się w nim zakocha. Wszyscy kochają Sama. Jest dobrze wychowany i sympatyczny, przystojny i wesoły. Do tej pory spotykał się z niewłaściwymi kobietami. Do tej pory nie spotkał jeszcze tej jedynej. Do tej pory nie spotkał swojej drugiej połówki, swego przeznaczenia.

Do tej pory. A teraz potrzebna mu tylko odrobina pomocy ze strony matki.

- Proszę pani? Betsy zamarła.

Stary lokaj odchrząknął.

- Widzę, że pani lepiej się już czuje.

Betsy wolno odwróciła się ku niemu. Skrzywiła się i przygarbiła, chcąc wyglądać na chorą.

- Szukałam łazienki.

Lokaj otworzył wybite w ścianie, złoto obramowane drzwi.

- Jestem pewien, że znajdzie pani tu wszystko, co potrzeba.

- Dziękuję.

- To była kiedyś główna sypialnia, do śmierci babki lady Elizabeth.

Ona też wolała tu sypiać i przerobiła garderobę na łazienkę.

Betsy weszła do środka i odegrała scenę odkręcania porcelanowego kranu i spryskiwania twarzy zimną wodą. Nie było to wcale pomieszczenie luksusowe, właściwie przypominało łazienkę w hotelu, w którym spędziła minioną noc. Potem wolniutko wróciła do łóżka, a Ruckles zniknął w holu. Za chwilę wrócił z jej bagażami, dwiema sporymi jasnoniebieskimi torbami.

- Zaraz przyślę pani którąś z pokojówek, żeby to rozpakowała.

Cudownie! Pokojówka do rozpakowania bagażu! Nawet ten ponury lokaj nie był w stanie zepsuć jej humoru.

- Dziękuję.

Lokaj skinął głową i spojrzał na portret królowej.

- Mówią, że w tym pokoju straszy.

- Ona?

- Nie wiemy, proszę pani. Jej Wysokość nigdy nie była w Longley.

- Tego na pewno nie wiadomo.

- Nie ma na to żadnych dokumentów, proszę pani.

- Dokumentów? Jakiego rodzaju?

- Listów, dzienników, pozycji w domowych rachunkach. Wizyta królowej oznaczałaby ogromne wydatki. Na pewno zostałyby to odnotowane.

- A pan by o tym wiedział. Ruckles skromnie przytaknął.

- Zbieram materiały dotyczące historii tego domu. Do mojej książki.

- Pisze pan książkę? Ruckles nie ukrywał dumy.

- Tak. Oczywiście, kiedy mam czas. A tu jest tyle do roboty - westchnął.

- O, tak, na pewno. To ogromny dom. Czy mogłabym ją przeczytać?

- Jestem dopiero przy trzecim rozdziale, proszę pani. Są całe pudła informacji, których jeszcze nie zdążyłem skatalogować.

Betsy gotowa była się założyć o swoją ulubioną parę spodni, że królowa Elżbieta była kiedyś w tym pokoju, w tym łóżku, w tej wspaniałej posiadłości.

- Chętnie panu pomogę - zaproponowała. - Skoro jestem na cały weekend uziemiona w tej sypialni, mogłabym przejrzeć pudło czy dwa.

- Jest pani historykiem?

- W pewnym sensie - odparła wymijająco Betsy. Lokaj wahał się tylko przez chwilę.

- Mógłbym przynieść pani jedno pudło. Dużo w nim korespondencji. Przydałaby się pewnie lupa.

- Oczywiście.

- A pani syn będzie pomagał lady Elizabeth, więc chyba nie będę potrzebny.

- Uważam, że powinniśmy zostawić tych młodych ludzi sam na sam. Jestem pewna, że dadzą sobie radę bez nas.

- Tak jest. Na pewno ma pani rację.

Betsy uśmiechnęła się. Lokaje są tacy rozgarnięci.

- Nie mam zamiaru wkładać tych rzeczy.

- Musisz - nalegała swym delikatnym głosem Elizabeth. - To tylko kostium.

- Nie noszę kostiumów - odparł zdecydowanie Sam.

- Skoro twoja matka poinformowała moich gości, że jesteś lordem Longfordem, to musisz.

Sam westchnął i wziął do ręki rozłożone na łóżku brązowe spodnie.

- Będę wyglądał jak idiota.

- Udawaj, że to bal przebierańców.

- Na pewno będą za ciasne. - Sam przyłożył spodnie do siebie.

Lady Liz wcale się tym nie przejęła. Podała mu brązową kurtkę.

- Po prostu przymierz i zobacz, czy pasuje. Pod to wkłada się białą kamizelkę, a Ruckles znalazł też białą koszulę. Mówi, że powinna pasować.

- A to? - Sam wskazał rząd różnego rodzaju pantofli i wysokich butów, ustawionych równym szeregiem obok szafy.

- Możesz sam wybrać - odparła i nachyliła się, by podnieść parę błyszczących, czarnych wysokich butów.

Cała uwaga Sama skupiła się na wychylających się z dekoltu jej sukni piersiach.

- Czy to jest koszula nocna, czy suknia? - udało mu się spytać.

- Suknia - odparła, wręczając mu buty.

- Nie powinnaś się w niej nachylać.

Lizzie zarumieniła się i szarpnęła w górę stanik sukni. Niestety, dekolt zmniejszył się zaledwie o kilka nieistotnych milimetrów.

- Przepraszam. Ja też nie jestem przyzwyczajona do noszenia takich rzeczy. Wydawało mi się, że doda to trochę autentyczności temu weekendowi.

Że były autentyczne, Sam nie miał najmniejszych wątpliwości. I taka też była jego reakcja na ich widok. Przełknął z trudem ślinę i wziął od Elizabeth buty.

- Tylko się już więcej nie schylaj, bo twoi goście dostaną coś, za co nie zapłacili.

Elizabeth zadarła dumnie głowę i odwróciła się ku drzwiom.

- Bądź w salonie za czterdzieści pięć minut. Musisz zabawić gości przed kolacją.

- Będą mnie pytać o posiadłość.

- Postaraj się po prostu być czarujący. Uśmiechnij się i zmień temat.

Zostawszy sam w pokoju, jeszcze raz przyjrzał się przygotowanej dla niego garderobie. Będzie w niej wyglądał jak Napoleon albo król Jerzy, albo ktoś z tych portretów wiszących w holu.

Będzie wyglądał jak idiota.

Właściwie powinien być do tego przyzwyczajony. Wychowała go przecież matka i ciotka Mary, dwie kobiety o bardzo dziwnych poglądach na życie.

Sam podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Nie chciał, żeby ktoś z gości zaskoczył go, kiedy zdejmuje swoje ubranie, normalne ubranie amerykańskiego turysty. Mimo dziwnych strzemiączek na dole nogawek zdołał się jakoś wbić w spodnie. Biała koszula była tylko trochę za mała, szelki i kamizelkę udało się zapiąć. Ciemna wełniana kurtka była tego samego rozmiaru co koszula, ale i z nią sobie poradził. Któryś z poprzednich lordów Longfordów musiał być tego samego wzrostu, ale

ważył co najmniej dziesięć kilo mniej. Był jeszcze pas białego materiału, ale Sam nie wiedział, co z nim zrobić. Usiadł na niskim, obitym aksamitem krześle i przymierzył kilka par butów, aż znalazł takie, które nie uciskały mu palców.

Potem wstał i przejrzał się w lustrze. Mógł się spodziewać, że podczas spokojnej wycieczki po angielskich wsiach pojawią się drobne komplikacje, ale nigdy by nie przypuszczał, że skończy ubrany w dziwaczne spodnie i będzie mógł nazywać się lordem. Dyskretne pukanie do drzwi przerwało te rozmyślenia.

- Tak?

- Przyszedłem pomóc panu w ubieraniu - odezwał się Ruckles.

Sam przekręcił klucz i otworzył drzwi.

- Chyba już jestem gotów, dziękuję. Lokaj skrzywił się.

- A pański fular, sir? O, jest. - Wziął z łóżka biały pas materiału i podszedł do Sama. - Dawno już tego nie robiłem. Mój stryjeczny dziadek służył krótko u lorda Longforda i nauczył mnie kilku mniej skomplikowanych węzłów. Sam nie miał pojęcia, o czym starszy pan mówi.

- Proszę się przez chwilę nie ruszać, zaraz sobie przypomnę.

- Nie męcz się, nie mam zamiaru tego nosić. Lady Liz nawet nie zauważy.

- Może i nie. - Lokaj odsunął się i jeszcze raz przyjrzał mu się uważnie. - Przepraszam bardzo, ale spodnie powinny być na wierzchu.

- Co takiego?

- Tak. Mają takie strzemiączka, które trzeba włożyć pod obcasy.

- Jestem pewien, że to wszystko się i tak nie uda.

- Nie zgadzam się z panem. - Lokaj gestem dłoni kazał Samowi usiąść. - Oczywiście trzeba pana trochę doksztalić. Pozwoli pan, że przedstawię panu kilka zasad, których dżentelmen musi przestrzegać.

Gotów do lekcji, Sam posłusznie usiadł. Jeśli już ma być tym lordem, to wolałby nie wyjść na idiotę.

- Czy mam zadzwonić?

Elizabeth wyjęła z pieca ostatnią brytfannę z pieczonym kurczakiem i postawiła ją na blacie.

- Jeszcze nie, Pattie. Dopiero jak wejdę do salonu.

Kuchnia była jednym z niewielu nowoczesnych pomieszczeń w całym budynku. Wyremontowała ją poprzednia pani domu, która uważała, że służba zasługuje na porządny warsztat pracy. Zainstalowała ogromną kuchnię gazową, dwa aluminiowe zlewy i mnóstwo blatów. Pośrodku stał wielki drewniany stół do przygotowywania potraw.

- Psze pani, stół jest już nakryty, ale nie mogę znaleźć jeszcze jednego złotego pucharka - powiedziała Peggie wchodząc do kuchni.

Elizabeth zatrzasnęła piekarnik i zdjęła rękawice.

- Powinno być dwanaście. Liczyłam.

- Dwanaście? Myślałam, że przy stole będzie trzynaście osób, psze pani.

- Nie. Dwanaście. Dziesięcioro gości... lord Longford i ja.

Skoro ma być panem tego domu, to chyba powinna tak go nazywać.

- Pan Sam jest bardzo przystojny - zachichotała Peggie.

- O, tak, bardzo - zgodziła się z nią siostra. - Ależ miałyśmy szczęście, że zgodził się zostać i nam pomóc. Jak mamy się do niego zwracać?

Elizabeth ustawiła półmiski w kolejności podawania na stół.

- Przy ludziach musicie mówić lord Longford, w innych sytuacjach na pewno wystarczy „pan Martin”.

- A pani Martin? Nie siada do kolacji?

- Dziś na pewno zje w swoim pokoju. Nie zapomnijcie zanieść jej tacy.

Wszystko było gotowe. Ziemniaki i pieczywo czekały w ciepłym piecu; wino, wybrane przez Rucklesa, było już otwarte; na półce w spiżarni stały wspaniałe desery.

- Zaniosę też pani Martin kilka książek z biblioteki - powiedziała Peggie. - To taka miła pani. Szkoda, że z jej głową coś nie tak, prawda?

- Pani Martin po prostu źle się poczuła. - Elizabeth spojrzała na zegar. Była piąta. Pora zadzwonić i podać gościom drinki. - Gdzie jest lista?

- Tutaj, psze pani.

- Więc wiecie, gdzie co idzie.

- Tak.

- I zamieszacie sos?

- Tak.

Elizabeth wcale nie miała ochoty wychodzić z kuchni, ale obie pokojówki uśmiechnęły się do niej uspokajająco, Wygładziła suknię i ruszyła w stronę salonu, drogą, którą mogłaby przebyć po omacku. Kamienny korytarz, uwaga na wilgoć po lewej stronie, dziesięć kamiennych schodów w górę, drzwi awaryjne, ciemnym korytarzem aż do ciężkich drzwi na końcu. Była pewna, że wszystko się uda. Cały czas, kiedy doglądała piekących się kurczaków, podgrzewała zupę i rozmrażała warzywną zapiekankę, powtarzała sobie, że się uda. Dziesięcioro gości to

nie tak znów wiele. Co mogłoby się nie udać w ciągu niecałych czterech dni?

Jedyną niewiadomą był Sam Martin. Był zbyt przystojny. Zbyt amerykański. Zbyt... pociągający.

Elizabeth otworzyła ciężkie drzwi prowadzące do jadalni i odetchnęła z zadowoleniem. Na stole błyszczało najlepsze rodzinne srebro, kryształy i porcelana. Świeże kwiaty, ustawione pośrodku, dodawały odrobinę koloru i elegancji.

Przyjrzała się temu jednemu ze swoich ulubionych pokoi okiem przybysza z zewnątrz. Idealnie. Dokładnie tak, jak być powinno. Na dźwięk gongu Elizabeth wyprostowała się i ruszyła do salonu. Panie z agencji na pewno spodziewają się, że najpierw tam właśnie je powita.

Miała nadzieję, że uda jej się skupić na interesach i zapomnieć o swym przystojnym, niespodziewanym gościu. Widywała już w swym życiu atrakcyjnych mężczyzn. No tak, ale wtedy podziwiała ich tylko z daleka i zajmowała się swoimi sprawami. Jeszcze nigdy nie musiała udawać, że jeden z nich jest jej mężem.

- Lady Elizabeth - powitał ją przy drzwiach Sam, który akurat zszedł ze schodów. - Gdzie pani sobie mnie teraz życzy?

Liz udała, że nie zauważyła dwuznaczności tego pytania.

- W salonie. Ruckles należy wino, ale pomożesz mu, gdyby ktoś miał ochotę na koktajl.

- Lordowie sami przygotowują drinki? - zdziwił się Sam.

- W ten weekend tak.

- Nic nie mówisz o moim przebraniu. Podoba ci się? Elizabeth starała się nie spuścić wzroku poniżej jego twarzy.

- Może być.

- Tylko tyle?

Nie powiedziała mu, że goście będą nim zachwyceni. Ona, niestety, też.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mam nadzieję, że pańska matka też będzie nam towarzyszyć - powiedziała Barbara Canfield, podając Rucklesowi kieliszek, by dolał jej wina.

- Dziś, niestety, nie.

Sam nalał sobie do szklanki sporą porcję whisky i dodał wody. Stary lokaj ostrzegł go przed piciem jej bez niczego.

- Ostatnio niezbyt dobrze się czuje.

- Tak mi przykro. Mam jednak nadzieję, że to nic poważnego?

Sam docenił jej troskę. Była to ta sama srebrnowłosa dama, która zwiedzała dom z notatnikiem.

- Jestem pewien, że w poniedziałek mama będzie już na nogach. Zachorowała właściwie dopiero dziś po południu i z przyjemnością odpocznie przez kilka dni.

Z przyjemnością to za mało powiedziane. Betsy Martin była w siódmym niebie.

- To urocza osoba. Życzę jej zdrowia.

- Dziękuję pani. Powiem jej, że pani o nią pytała - rzekł Sam i uznał, że pora zmienić temat. - Miło się pani dziś zwiedzało dom?

- O, tak. To było bardzo interesujące.

- Robiła pani jakieś notatki. Interesuje się pani historią? Pani Canfield pokręciła głową.

- Nie. Wysyłam klientom sprawozdania z moich podróży...
Podsuwam im w ten sposób pomysły na ich własne wyprawy.

- Mam nadzieję, że spędzi tu pani miły weekend.

- Jestem tego pewna.

W tej samej chwili otoczyły ich pozostałe panie, zapewniając go, jak bardzo podoba im się jego dom. Jego dom.

Sam kiwał głową, jakby to on osobiście zaprojektował tu każde wnętrze.

- Elizabeth bardzo się starała, by odrestaurować swoją rodzinną posiadłość. Jest bardzo szczęśliwa, mogąc tu panie gościć. - Kobiety były uśmiechnięte, więc Sam domyślił się, że nieźle mu idzie. - Skąd panie pochodzą?

Zaczęły mu opowiadać, uwalniając go tym samym od konieczności odpowiadania na ich pytania. Dopytywał się o firmy, dla których pracują, i starał się zapamiętać nazwiska swoich rozmówczyń. Dwie przyjechały z Nowego Jorku, Dorla mieszkała w Bostonie, Nancy miała sześć biur podróży w Chicago. Dwie młode panie siedziały na kanapie i rozmawiały.

Elizabeth stała w pobliżu. Sam próbował słuchać, o czym rozmawia - coś o strojach i ogrodach - ale nagle tuż przy nim pojawił się Ruckles.

- Sir?

Widząc wyczekujące spojrzenia czterech kobiet, Sam zorientował się, że lokaj mówi do niego.

- Słucham?

- Jest pan proszony do biblioteki.

Wszystko dobrze, gdyby tylko wiedział, gdzie jest ta biblioteka.

- Przepraszam na chwilę - zwrócił się do stojących obok niego pań i przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie powinien się uklonić. Uznał to jednak za przesadę, skinął więc tylko głową i wyszedł do holu.

Na szczęście czekał tam na niego Ruckles.

- Nie wiem, gdzie jest...

- Oczywiście nikt na pana nigdzie nie czeka - poinformował go od razu cichym szeptem lokaj. - Uświadomiłem sobie, że może pan nie wiedzieć, gdzie będzie pan siedział przy stole. Kiedy zadzwoni gong...

- Ujmę lady Elizabeth pod ramię i poprowadzę do jadalni - dokończył pewny siebie Sam. - Domyślam się, że będę siedział u szczytu stołu.

Ruckles skinął głową.

- Należę wszystkim wino, kiedy pan je zaaprobuje. Lady Elizabeth będzie mi dawała znać, kiedy wnosić poszczególne potrawy.

- Tak, nie wątpię.

Piękna lady Liz na pewno od urodzenia przywykła do wydawania rozkazów.

- Jak można się stąd dostać do pokoju mojej matki? - spytał. - Powinienem do niej zajrzeć przed kolacją. Niedawno do niej pukałem, ale nie odpowiedziała.

- Może się zdrzemnęła - podsunął lokaj. - Kiedy pokojówka zaniósła jej kolację do... jej pokoju, prosiła, żeby nie przeszkadzać jej aż do rana.

To bardzo sprytne z jej strony. Po jednej kolacji, podczas której wystąpił w roli lorda, mógłby zmienić zdanie i błyskawicznie spakować ich manatki.

- Mimo to chyba jednak do niej zajrzę - nie ustawał, bo niepokoił się o matkę.

- Rozmawiałem z panią Martin przed godziną i poślę jeszcze do niej Pattie. Oczywiście damy panu znać, gdyby matka potrzebowała pańskiej pomocy.

Ponieważ Betsy potrzebowała jego pomocy aż nadto jak na jeden dzień, Sam uznał, że może dać jej spokój.

- Dobrze. Zaczekam do wieczora.

- Za siedem minut będziemy podawać do stołu. Proponuję, żeby wrócił pan do salonu. - Przed otwarciem drzwi Ruckles jeszcze chwilę się zawahał. - Proponuję też, żeby stanął pan przy lady Elizabeth i okazał jej trochę tych uprzejmości, jakie zazwyczaj mąż okazuje żonie.

- Rozumiem.

Innymi słowy, miał zachowywać się jak mąż. Na samą myśl stracił prawie cały apetyt. Czy mężczyzna nigdy nie ma prawa być sam? Wychowały go dwie kobiety - matka i ciotka Mary. Dwie kobiety, które zaczęły go swatać, ledwo skończył szesnaście lat. Prowadził firmę po zmarłym ojcu, inwestował pieniądze matki, ale mowy nie ma, by się ożenił, tylko po to, żeby sprawić przyjemność matce. Wziął głęboki oddech i wszedł do salonu. A wtedy ta drobna blondynka spojrzała na niego i uśmiechnęła się. W jej błękitnych oczach malował się ogromny niepokój. Chciał go szybko przegonić, więc natychmiast odwzajemnił uśmiech.

Obrzucił spojrzeniem całą jej drobną postać - od kolczyków w uszach po czubki złotych pantofli. Tak chyba powinien mąż patrzeć na swoją żonę. Miał nadzieję, że zrobił dobre wrażenie na gościach.

- Czy mówiłem ci, że pięknie dziś wyglądasz?

- Nie.

- A więc przepraszam, Elizabeth.

Lady Liz zdobyła się na słaby uśmiech.

- Poznałeś już wszystkich, Sam?

Sam uśmiechnął się do pań najarystokratyczniej, jak potrafił.

- Chyba nie.

Elizabeth przedstawiła mu dwie panie z Connecticut.

- Karen Carmichael i Melissa Lee. Wykładowczynie historii z Yale.

- Jesteśmy na rocznym urlopie naukowym - wyjaśniła jedna z nich. -

Pański strój jest bardzo elegancki, nawet bez fularu.

- Nie było...

Dźwięk gongu nie pozwolił mu na szczere wyjaśnienie.

- Wiem, wiem. - Jedna z pań poklepała go po ramieniu.

- Strasznie trudno je wiązać. Jeśli pan zechce, po kolacji mogę panu pokazać, jak to się robi. Stroje historyczne to moja specjalność.

- Dziękuję pani, ale...

- Sam? - Elizabeth dotknęła jego ramienia. - Czy zechcesz poprowadzić panią Lee do stołu?

- Oczywiście. - Nie było to, co prawda, zgodne z instrukcjami lokaja, ale Sam wsunął rękę pani Lee pod swoje ramię.

- Pani pozwoli - rzekł, prowadząc ją przez otwarte przez Rucklesa podwójne drzwi, wiodące do jadalni.

- Ojej, jak tu pięknie - westchnęła towarzysząca mu dama. Sam też o mało nie otworzył ust z zachwytu i zdziwienia.

Pokój był ogromny, pośrodku pomieszczenia dominował stół. I nie był to wcale taki sobie, zwyczajny stół. Sam nigdy w życiu nie widział tak potężnego mebla. Podłoga była wyłożona szarym kamieniem, nad marmurowym kominkiem wisiał portret prawdopodobnie jakiegoś przodka, natomiast na ścianie naprzeciwko okien gobelin.

- To jadalnia rodzinna - wyjaśniała Barbarze Canfield idąca za nimi Elizabeth.

Przed każdym nakryciem stała obramowana złotą obwódką kartka z ozdobnie wypisanym nazwiskiem gościa.

- Cudowne - szepnęła pani Lee sama do siebie.

- Cieszę się, że się pani podoba. Głównej jadali już właściwie nie używamy - wyjaśniała dalej gospodyni. - Babka korzystała z niej tylko czasem, podczas większych przyjęć. Tu jest dużo przytulniej.

Sam stanął u szczytu stołu i czekał, aż Elizabeth rozsadzi gości. Ruckles zręcznie odsuwał im krzesła. Sam pomógł usiąść dwóm paniom po swojej lewej i prawej stronie, a potem czekał na znak Elizabeth.

- Pokój ten powstał w latach osiemdziesiątych osiemnastego wieku, kiedy przyjmowanie małych grup gości stało się modne - powiedziała Elizabeth. - Mam nadzieję, że będzie tu paniom przyjemnie.

- Jak stary jest ten gobelin, lordzie Longford?

- Proszę mówić mi Sam. - Zignorował pełne zdziwienia spojrzenie kobiety i zwrócił się do Elizabeth: - Kochanie mamy tu pytanie o nasz gobelin. Czy zechcesz o nim opowiedzieć? Elizabeth jest w tych sprawach ekspertem - zwrócił się do gościa. - Ja spędzam większość czasu... na dworze.

Elizabeth opowiedziała historię gobelinu - obrzydliwego dywanu przedstawiającego tłuste amorki i wyraźnie cierpiących na zaparcie rycerzy - a Pattie i Peggie podały miseczkę parującej zupy cebulowej i srebrne koszycki z pieczywem. Elizabeth miała talent do historycznych opowieści ale na

Samie nie robiło to wrażenia. W minionym tygodniu widział setki takich zabytkowych gobelinów.

Z umieszczonego po jego lewej stronie stojaka wyjął butelkę.

- Komu wina?

- Jak mogłeś przez cały czas dolewać wina! - skarciła go Elizabeth. - Jakbyśmy znajdowali się w miejscowym pubie.

- Chciałem tylko być gościnny - wyjaśniał Sam, idąc za nią przez hol. - Nikt się nie skarżył. Panie były zachwycone.

- Były pijane.

Długa suknia uniemożliwiała jej szybsze kroki. Marzyła też, by nowy „lord” poszedł już spać i przestał z nią rozmawiać.

- Nie wszystkie. - Sam otworzył przed nią masywne drzwi, choć z powodzeniem mogłaby zrobić to sama. - Dwie starsze, Ellen i Marje, chyba tylko lekko rozweselone.

- Niezupełnie. - Elizabeth widziała, jak chwiejnym krokiem szły do swoich sypialni, podtrzymując jedna drugą. - W razie jakichś kłopotów, nie ty będziesz odpowiadał.

- Może to zmiana czasu tak na nie wpłynęła.

- Raczej brandy, którą je uraczyłeś.

- Przecież nie wlewałem jej im do gardeł. Dokąd my właściwie idziemy? Śmierdzi tu jak w jakimś lochu.

Wiedziała, że Sam ma rację. W kamiennym korytarzu zawsze panowała wilgoć.

- Do kuchni. Uważaj na kałużę.

Za późno. Sam już zdążył opryskać wodą dół jej sukni.

- Przepraszam.

- A niech to licho!

- Byłem pewien, że tak mówili tylko bohaterowie Dickensa.

Teraz krytykuje jeszcze jej język. Czy to się nigdy nie skończy?
Elizabeth zatrzymała się przed drzwiami do kuchni.

- Dobranoc. Jeśli wrócisz tą samą drogą, dojdiesz do schodów.

- Posłuchaj. - Sam uznał, że musi się usprawiedliwić.

- Staralem się po prostu być dobrym gospodarzem. Jadły i piły wszystko, co się przed nimi znalazło. Ruckles zniknął, więc...

- Wcale nie zniknął. Odesłałam go do łóżka. - Elizabeth zapaliła światło w obszernej, pomalowanej na żółto kuchni.

- Trudno mu być na nogach do tak późnych godzin.

- A tobie?

- Ja muszę pozmywać - wyjaśniła i włożyła fartuch.

- Nikt ci w takich pracach nie pomaga?

- Do pewnego stopnia. Dziewczyny już sprzątnęły, co dały radę, ale nie mogę od nich wymagać, by pracowały od ósmej rano do północy.

Elizabeth rozejrzała się po kuchni. Na blacie obok zlewu piętrzyły się góry filiżanek, spodków i talerzyków, ale reszta brudnych naczyń, na szczęście, zniknęła.

- Myślałbym raczej, że będziesz miała co najmniej dziesięć osób służby.

Sam oparł się o blat i skrzyżował ręce na piersiach.

- Owszem, za czasów mojej babki tak było. - Elizabeth odkręciła wodę.

- Nie masz zmywarki?

Liz włożyła gumowe rękawiczki i naląła do zlewu trochę płynu do zmywania.

- Mam, ale tę połączaną zastawę trzeba myć ręcznie. Sam zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

- Chcesz, żebym powyciera!?

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Nie bądź taka zdziwiona. Z faktu, że nie chciałem dobrowolnie zostać twoim mężem, nie wynika, że nie mogę powycierać naczyń.

Sam podwinął rękawy, a Liz rzuciła mu ścierkę.

- Będę ci wdzięczna za pomoc.

Byłaby mu jeszcze bardziej wdzięczna, gdyby poszedł już spać.

Dziwnie się przy nim czuła - jak szesnastolatka jękająca się w obliczu ulubionego aktora. Taka była w tym wieku - jękająca się, nieśmiała, gruba i z aparatem na zębach.

Szybko odsunęła to wspomnienie i dzielnie zaatakowała naczynia.

Myła i splukiwała delikatną porcelanę, a Sam szybkimi ruchami ją wycierał i odstawiał na blat niebezpiecznie niedbałymi ruchami.

- Jestem pewien, że nic z tego nie wyjdzie.

- Nie rozumiem?

- Jutro z samego rana zabiorę matkę i wyjedziemy. Powiesz gościom, że lord Longford został wezwany w jakiejś pilnej sprawie.

Liz zdawała sobie sprawę, że powinna się zgodzić. Upił jej gości. Ma wyraźnie amerykański akcent. Nie wie nic o Longley, a jeszcze mniej o zabawianiu dziesięciu dam. Jest zupełnie obcy. Może o nim powiedzieć jedynie to, że jest dobry dla swojej matki, daje sobie radę ze ścierką do naczyń i ma najbardziej seksowny uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała.

A jednak, o dziwo, te trzy cechy wydały jej się bardzo ważne.

- Przecież zawarliśmy umowę - przypomniała mu. - A twoja matka bardzo dobrze się czuje w naszym błękitnym pokoju.

- Moja matka wszędzie szuka przygód.

- Myślisz, że udaje chorobę?

- Nie. Widziałem, jak zbladła. Bardzo się przestraszyłem. Ale nie mam pojęcia, jak to zrobiła, że w rezultacie tego omdlenia ona leży w zabytkowym łóżu, a jej syn parady w dziwacznych ciuchach i sprząta kuchnię?

Elizabeth nie mogła się nie roześmiać.

- Twoja matka jest urocza. Niech sobie leży w tym łóżku i odpoczywa. Może wycieczka była zbyt męcząca i po dniu lub dwóch wypoczynku dojdzie do siebie. Oczywiście, jeśli naprawdę jest chora, możemy natychmiast wezwać lekarza. A poza tym, moi goście cię uwielbiają - dodała, ostrożnie podając mu kolejną filiżankę.

- Naprawdę?

- Tak. Twój kompletny brak wiedzy historycznej kazał im uwierzyć, że po prostu masz ważniejsze rzeczy na głowie.

- Na przykład?

- Nie wiem, ale podsłuchałam, jak dwie z nich szeptały między sobą, że na pewno dużo czasu spędzasz za granicą w interesach. To zdaje się było po tym, jak „zapomniałeś”, gdzie jest biblioteka.

- A, tak, bardzo cię za to przepraszam.

- Dopilnuję, żebyś dostał plan domu. Przygotowałam go dla moich gości.

- Dobry pomysł. W tym domu musi być ze trzysta pokoi.

- Posiadłość jest ogromna, ale używamy tylko niewielkiej jej części. Tak jest nam dużo łatwiej.

- A gdzie te wszystkie panie śpią?

- Część na parterze, reszta na pierwszym piętrze. Wszystkie ogólnie dostępne pokoje są na tamym górnym piętrze. Jest jeszcze jedno, ale

chyba nigdy go nie odrestaurujemy. Trzymamy tam stosy mebli i obrazów, których pewnie do końca życia nie uda mi się skatalogować.

- Do końca życia - powtórzył Sam. - Strasznie jesteś temu miejscu oddana.

- Czy to coś złego?

Sam spojrzał na nią dziwnie.

- Jesteś za młoda, by się tak poświęcać dla jakiegoś domu. Nie masz swojego własnego życia?

No tak. Sam dotknął tą uwagą bardzo bolesnego miejsca. Elizabeth odwróciła się i włożyła do zlewu kolejną porcję naczyń.

- To nie twoja sprawa.

- Jestem twoim mężem. Powinienem chyba wiedzieć takie rzeczy.

- Nic nie... - jęknęła, kiedy ból przeszył wskazujący palec jej lewej ręki.

- Ja tylko żartowałem - rzekł, patrząc na jej skrzywioną twarz. - Nie ma powodu płakać.

Elizabeth kilkoma szybkimi mrugnięciami powstrzymała łzy.

- Wcale nie płaczę. Skaleczyłam się i trochę mnie piecze. -

Wyciągnęła ręce z wody, by mu pokazać. - Musiałam coś stłuc.

- Powinnaś pozbyć się tych staroci. - Sam pomógł jej zsunąć rękawiczkę. Z palca Elizabeth płynęła krew, wsunął więc go pod strumień zimnej wody.

- Te „starocie” to bardzo cenne antyki.

- I bardzo niebezpieczne. Jak teraz?

- Lepiej.

Lodowata woda cudownie znieczuliła ranę. Elizabeth zdrową ręką sięgnęła po wiszącą obok rolkę papierowego ręcznika.

- Ja to zrobię.

Oderwał kawałek ręcznika i zręcznie owinał jej palec.

- Masz dzieci?

- Nie - zdziwił się. - Dlaczego pytasz?

Nie mogła mu powiedzieć, że wzruszyły ją jego delikatne ruchy.

- Znakomicie dałeś sobie radę.

- Trzy lata z rzędu byłem komendantem letnich obozów. Gdzie masz apteczkę?

- Coś powinno być w komodzie w kredensie.

- To znaczy gdzie?

- Zaraz przyniosę.

Było to prostsze niż tłumaczenie mu, co to jest kredens, gdzie się znajduje i w której szufladzie komody ma szukać apteczki.

Po chwili położyła na kuchennym blacie małe pudełko. Krwawienie ustało, choć palec wciąż pulsował bólem. Sam znalazł w pudełku rolkę bandaża, odwinął papier i starannie opatrzył palec Liz.

- Gotowe - oznajmił. - Myślę, że szycie nie będzie konieczne.

- Na pewno. Powinnam być ostrożniejsza.

Sam spojrzął w stronę pełnego mydlanej wody zlewu.

- Wypadki chodzą po ludziach. Poszukam tego zbitego naczynia i wyciągnę je.

- Dzięki.

Puścił jej rękę, co było niezłym pomysłem, bo zaczynało jej się to już podobać.

Sam błyskawicznie wypuścił wodę ze zlewu, zebrał potłuczone kawałki spodeczka i spłukał resztę naczyń. Ustawił je na ścierce, jeszcze raz przyjrzał się całej kuchni, a potem zwrócił się do Liz.

- Możemy już iść do łóżka?

- Słucham?

Sam niedbałym ruchem rzucił ścierkę na blat.

- Pan tego domu nie ma pojęcia, jak dostać się do swojej sypialni.

- Zaprowadzę cię. Ruckles umieścił cię we wschodnim skrzydle, niedaleko prywatnych pokoi rodziny.

W pokoju, w którym powinien spać ten gad Anthony.

- Nie mam pojęcia, czy to na górze, czy na dole, w lewo czy w prawo. Jutro zaznaczę sobie drogę okruszkami.

- Jutro dam ci mapkę.

Wiedziała, że nie powinna ulegać jego czarowi. Była jednak tylko człowiekiem. A on był wspaniały. I oboje byli młodzi i wolni i w środku nocy stali tylko we dwoje pośrodku jej kuchni. A kuchnie potrafią być romantyczne. Przypomniała sobie pewien film, w którym bohater zrzuca ze stołu wszystkie naczynia, a potem kocha się na nim ze swoją dziewczyną. Zazdrościła jej takiej namiętności.

Był to jeden z jej ulubionych filmów.

- Elizabeth? - Sam zatrzymał się w progu. - Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - odparła, gasząc światła. Nie powinna zapominać, że Sam jest jej gościem. – Śniadanie wydajemy między siódmą a jedenastą. Możesz zejść do jadalni, o której będziesz chciał.

- Jeśli ją znajdę - mruknął.

Wyprowadziła go na ciemny korytarz i zamknęła za nimi drzwi.

- Będziesz musiał kierować się zapachem smażonych kiełbasek.

- Chcesz kobietom na kacu podać smażone kiełbaski?

- Uwaga na kałużę.

Sam odskoczył i wylądował na rąbku sukni Elizabeth, która uderzyła plecami o ścianę, a on oparł się o nią. Podtrzymywali się nawzajem.

- Nic ci się nie stało?

- Ciągle mnie o to pytasz. Nic mi nie jest. Czy mógłbyś zdjąć stopę z mojej sukni?

Sam usunął stopę, ale nie ramiona. Nadal ją obejmował. Może bał się, że upadnie, jeśli ją puści.

- Zniszczyłem twoją jedyną stylową suknię, czy też masz jeszcze jakieś inne?

- Mam - szepnęła, zastanawiając się, czemu jej tak gorąco.

- Upadniesz, jeśli cię puszczę? - Jego wargi były niebezpiecznie blisko jej ust.

- Nie upadnę - zapewniła go, ale on położył ręce na jej ramionach i delikatnie ją pocałował.

- Miłe - szepnął.

- Zdziwiło cię to?

- Owszem. - Jeszcze raz dotknął jej warg.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wyjąkała z trudem Elizabeth. - Czyżbyś jeszcze nigdy nie całował angielskiej damy?

- Całowałem wiele dam - odparł wesoło i uwolnił ją ze swoich objęć.

- Ale nie w Anglii. - Jego wzrok padł na jej piersi. - Mówiłem ci, że wypadną z tego dekoltu.

- Tam jest ich jeszcze więcej - oznajmił Ruckles, otrzepując ręce z kurzu. Nogą podsunął ciężki kufer w stronę łóżka. - Niestety, jak zresztą można się było spodziewać, nie są w porządku chronologicznym.

- Tak - zgodziła się Betsy.

Nie miała specjalnej ochoty, by o szóstej rano badać historię rodu Longfordów, ale nie spała już od piątej, robiąc plany na przyszłość. Trudno cokolwiek planować o pustym żołądku, ale nie odważyła się chodzić po całym domu w poszukiwaniu kawy i grzanki. Nie miała wątpliwości, że jej syn marzy, by wskoczyć w samolot, jak tylko będzie to możliwe, a zrobi to natychmiast, jeśli tylko zobaczy, że matka lepiej się czuje.

- Czego konkretnie mam szukać? - spytała.

- Wszystkiego, co opisuje meble nabyte albo wykonane w szesnastym wieku - odparł Ruckles. - I, oczywiście, wszystkiego, co odnosi się do wizyty królowej Elżbiety.

Betsy rozpromieniła się.

- Mogłabym udowodnić, że spała w tym łóżku!

- To możliwe, ale mało prawdopodobne. A jednak taka reklama bardzo pomogłaby naszym interesom. Lady Elizabeth byłaby bardzo zadowolona.

- Rozumiem.

Sprawienie przyjemności lady Elizabeth byłoby znakomitym początkiem. Nieszczęśliwe młode kobiety zakochują się dużo trudniej niż szczęśliwe. Co prawda zakochać się w Samuelu nie jest tak trudno, ale jemu w tej dziedzinie wyraźnie trzeba pomóc.

Ruckles ukląkł na dywanie i uniósł wieko kufra, pełnego papierów i oprawnych w skórę notesów. Betsy kichnęła, kiedy lokaj podał jej paczkę wyblakłych listów.

- Elizabeth nie będzie miała pretensji, że to robisz?
- Wątpię, proszę pani. Dała mi wolne, żebym mógł przejrzeć te rodzinne papiery. Zwiedzający na pewno chętnie by nabyli dokładnie spisana historię jej przodków - oznajmił z dumą lokaj.
- A pan byłby autorem takiej książki?
- Oczywiście. A któż by inny? - Ruckles wstał i strzepnął ze spodni nie istniejącą drobinę kurzu. - Naturalnie wspomnę w przedmowie o pani udziale.
- Oczywiście. - Betsy rozwiązała spłóviałą różową wstążeczkę i listy upadły jej na kolana. - Ciekawe, co tutaj znajdę.
- Proszę skoncentrować się na meblach i królowej - przypomniał lokaj. - Późniejszymi wiekami zajmę się potem.
- Ja bardzo szybko czytam. I będę robiła dokładne notatki.
- Wspaniale. A więc zostawiam panią sam na sam z tymi dokumentami.
- Chwileczkę - zatrzymała go jeszcze Betsy. - A co ze śniadaniem? Lokaj spojrzał na nią zdziwiony.
- Śniadanie podajemy w jadalni pomiędzy siódmą a jedenastą.
- Zapomniał pan, że jestem chora?
- Tak jest, proszę pani. Dopilnuję, żeby pokojówka przyniosła pani tacę.
- Dziękuję. A, jeszcze coś, Ruckles. Nie powiedziałaś mi, jak minął wczorajszy wieczór.
- Wczorajszy wieczór?
- No, tak. Jak poradził sobie mój syn?
- Powiedziałbym, że dostatecznie - stwierdził Ruckles i nie wdając się w dyskusję, zamknął za sobą drzwi.

Betsy strzepnęła kurz z zabytkowych listów i przez chwilę oddała się marzeniom o filiżance świeżo zaparzonej kawy.

Dostatecznie. Stojąc w holu, Sam usłyszał ocenę swego wczorajszego popisu. Mimo wskazówek Pattie czy Peggie dopiero po dziesięciu minutach i trzech pomyłkach udało mu się zlokalizować pokój matki.

- Dzień dobry panu - powitał go Ruckles.

- Dzień dobry.

- Pańska matka już nie śpi.

- Tak. Słyszałem. Chciałem zobaczyć, jak się czuje. Ruckles wahał się przez chwilę.

- Na pewno z przyjemnością sama panu o tym powie. Sam z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Naprawdę?

Lokaj nie zareagował.

- Czy są jakieś szczególne plany na rano?

Miał nadzieję, że nie. Chciał powłóczyć się trochę po okolicy i znaleźć „New York Timesa”. Zadzwoić do swojej firmy i dowiedzieć się, jak idą interesy. Oraz zarezerwować pokoje w jakimś hotelu w pobliżu lotniska i bilety na lot powrotny do Stanów.

Lokaj nie ukrywał zdziwienia.

- Nie dostał pan rozkładu dnia?

- Nie.

Mógł się domyślić, że będzie taki rozkład. Brytyjczycy lubią organizować cały świat.

- Dopilnuję, żeby przysłano go panu do pokoju.

- Nie ma pośpiechu. Nie muszę od razu wiedzieć, co lady Liz dla mnie przygotowała.

Podszedł do drzwi błękitnej sypialni i przed wejściem dwukrotnie zastukał. W rozświetlonym słonecznymi promieniami pokoju matka siedziała na łóżku wsparta o poduszki i w okularach na nosie czytała jakieś papiery.

- Mamo? Co robisz?

- Takie sobie badania naukowe - uśmiechnęła się Betsy. - Nic wyczerpującego.

- Jak się czujesz? - Z ulgą zauważył, że jest umalowana i ma ułożone włosy.

- Nie najgorzej.

- Na tyle dobrze, że możemy wyjechać?

Matka zignorowała jego pytanie i przełożyła trzymane na kolanach papiery.

- Jak minął wczorajszy wieczór?

Sam miał trudności z odpowiedzią. Jak miałby opisać przydepnięcie sukni lady Liz, późniejsze całowanie jej pełnych, miękkich warg czy... wrażenie, jakie wywarł na nim widok jej prawie nagich piersi.

- W porządku.

- W porządku. Hm... Ciekawe, co o tym sądzi nasza gospodyni.

- Powinnaś ją o to zapytać.

- Czy panie uwierzyły, że jesteście małżeństwem? Czy lady Liz była zadowolona z kolacji? Przecież na pewno coś ci powiedziała.

- Oprócz tego, żebym poszedł do diabła?

- Nie żartuj, Sam.

Wcale nie żartował. Pani na włościach zasłoniła dekolt i ruszyła ku drzwiom. Kazała mu iść do diabła, w milczeniu poprowadziła go przez dom, wskazała mu drzwi do jego pokoju i wyraziła nadzieję, że rano już go nie będzie.

- Była zachwycona.

- Wcale mnie to nie dziwi. Nie mogło przecież być inaczej. Oj, mogło, mogło.

- Powiedz, że czujesz się na tyle dobrze, byśmy zaraz mogli wyjechać - poprosił, siadając na brzegu łóżka.

- Ostrożnie - ostrzegła go Betsy, przesuwając papiery. - To bardzo stare rzeczy.

Sam wziął do ręki jedną z kopert, przyjrzał się wyblakłemu atramentowi i przełamanej woskowej pieczęci.

- Co ty z tym robisz?

- Znalazłam sobie rozrywkę.

- W domu też masz mnóstwo rozrywek, mam.

- Mam jeszcze trzy dni wakacji. Nie zepsuj ich - skarciła go Betsy.

- Niepokoję się o twoje zdrowie. Uważam, że powinien zobaczyć cię lekarz. I trzeba jak najszybciej wrócić do domu.

- Nie rządz mną, Sam. Nadal jestem twoją matką i nie muszę cię słuchać.

To rzeczywiście był problem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ależ proszę pani, niech pani tego nie robi! Elizabeth powtórzyła przerażonemu lokajowi swoje instrukcje.

- Spakuj jego rzeczy i dopilnuj, żeby przeniósł się do zajazdu w miasteczku.

Ruckles stał nieporuszony u stóp schodów. Można by podejrzewać, że jest wręcz rozczarowany.

- A co zrobimy z panią Martin?

- Pani Martin zostanie do poniedziałku rano, tak jak uzgodniliśmy. Elizabeth, mimo wszystko, nie potrafiłaby wyrzucić tej słodkiej, starszej pani z błękitnej sypialni.

- A jak wyjaśnimy naszym gościom zniknięcie lorda Longforda?

- Coś wymyślę - zapewniła go Liz. - Pojechał do Londynu. Jakaś pilna sprawa. Choroba krewnego. Interesy.

Ruckles omal się nie rozplakał.

- Interesy? A co mam powiedzieć, kiedy ktoś zapyta, czym zajmuje się lord Longford?

- Jedzeniem - odpowiedział za nią męski głos. Odwróciła się i ujrzała stojącego tuż obok uśmiechniętego

Sama Martina.

- Nie znalazłeś jeszcze jadalni? - spytała, sprawdzając równocześnie, czy jej bluzka jest porządnie zapięta.

Gest ten, oczywiście, nie uszedł uwagi „gościa”. Obdarzył Liz zniewalającym uśmiechem, aż nogi się pod nią ugięły.

- Nie włożyłaś dziś swojego kostiumu - zauważył.

- Przekonałam się, że jest niezbyt praktyczny. Znowu podsłuchiwałeś - zauważyła.

Sam wzruszył ramionami.

- Po tych marmurowych posadzkach głos bardzo dobrze się niesie.

Nie boisz się, że goście też mogą podsłuchiwać?

- Wszyscy jeszcze śpią. Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut - dodała, spoglądając na zegarek.

Miała tysiąc ważniejszych rzeczy do zrobienia, niż stać tak i pojedynkować się słownie z tym Amerykaninem. Z Amerykaninem, który ją pocałował i oglądał jej piersi.

- Więc chcesz się mnie pozbyć?

- Mów ciszej, proszę. - Elizabeth zauważyła, że Ruckles odszedł kawałek i zostawił ich samych. - Tak. Uważam, że tak będzie zdecydowanie lepiej. Od początku powinnam wiedzieć, że to się nie uda.

Sam wcale nie był zdenerwowany tą wiadomością.

- Nie byłem dość dobrym lordem?

- Po prostu się nie nadajesz - skłamała.

Był przecież taki uroczy, dobrze wychowany i po amerykańsku szczery i otwarty. Miał szerokie ramiona, ciepłe usta i brązowe wesołe oczy.

- A jeśli nie zechcę wyjechać?

- Wezwę posterunkowego.

- Naprawdę? - zdziwił się Sam. - Twój goście będą mieli niezłą zabawę. Błefujesz, lady Liz. Wciąż jesteś wytrącona z równowagi tym pocałunkiem? - spytał szeptem.

- Jestem za stara, by coś tak... trywialnego mogło mnie wytrącić z równowagi.

O właśnie, teraz powinien od razu pójść się pakować.

- To prawda. Ile masz lat?

- To nie twój interes.

- Trzydzieści? Mniej więcej w tym czasie kobiety stają się drażliwe na punkcie swego wie...

- Dwadzieścia osiem.

- Dobrze. Dwadzieścia osiem. I wiesz, że choć bardzo chcę, nie wyjadę.

- Do jasnej anielki - syknęła Liz. - Oboje wiemy, że to wszystko jest co najmniej śmieszne.

- I oboje dobrze wiemy, że moja matka jest na górze w tym paskudnym, starym łóżku, więc nie jest to wcale takie proste.

- Ona może zostać. Ty nie.

- Nie zostawię jej tu z obcymi. Zostanę, niezależnie od tego, czy będę musiał udawać twego męża, czy nie. Zgodziłaś się na to, moja matka jest szczęśliwa i dopilnuję, by nadal taka była. Przynajmniej trochę sobie odpocznie. Wystaw nam rachunek, dam ci moją kartę kredytową i dopóki matka nie wyzdrowieje, pozostanę prostym Samem Martinem, jednym z twoich gości.

- Nie mogę tym kobietom powiedzieć, że nie jesteś moim mężem. Jak by to wyglądało, gdyby zorientowały się, że je...

Przerwał jej głośny krzyk i brzęk tłuczonych naczyń. Cała trójka spojrzała w górę schodów. Przez balustradę wychylała się ku nim Barbara Canfield.

- Wszystko w porządku. To tylko pokojówka upuściła tacę.

- Coś jej się stało?

Nad balustradą ukazała się zarumieniona twarz Pattie.

- Nic, nic, psze pani. Bardzo przepraszam. Potknęłam się o własne nogi. Śniadanie pani Martin...

- Zajmiemy się tym! - zawołała Elizabeth i na widok kolejnych głów nad balustradą zawstydziała się, uświadomiwszy sobie, że krzyczy. - Już idę.

- Ja posprzątam - szybko zaproponował Sam, wyprzedzając Liz. - Nie pozwolę, byś znowu się skaleczyła.

- A ja przygotuję nową tacę dla twojej matki - powiedziała Elizabeth i zwróciła się do lokaja. - Ruckles, czy zechcesz poinformować wszystkie panie, że w każdej chwili mogą zejść na śniadanie?

Ruckles nawet nie próbował ukryć westchnienia.

- Oczywiście.

- Ruckles, daj sobie spokój. Ja się tym zajmę - powstrzymał go Sam.

- Tak jest, sir.

- Kochanie?

Elizabeth, świadoma obecności sporego audytorium, przyglądającego się im z nad balustrady, starała się przybrać czułą minę.

- Co?

- Mam nadzieję, że zjesz ze mną śniadanie, prawda?

- Muszę...

- To dobrze - uśmiechnął się Sam. - Musimy omówić plan dnia.

Elizabeth uznała, że lepiej z nim nie dyskutować.

Owszem, mogą porozmawiać o planie. Jeden z jego punktów będzie dotyczył pozbycia się lorda Longforda. Marzyła, by zniknął jej z oczu. I bez niego miała dość problemów. Odwróciła się do Rucklesa.

- Zrób to - poleciła mu bezgłośnie.

Lokaj, choć wyraźnie niezadowolony, skinął głową.

- Walczą ze sobą.

Betsy wyskoczyła z łóżka, wykonała kilka głębokich przysiadów i przeciągnęła się.

- Pewnie. To się nazywa „napięcie seksualne”.

Ruckles prychnął i zarumienił się.

- Ależ pani Martin!

- Tak - odparła, rozluźniając nadgarstki. - Naprawdę. Tak piszą w książkach. „Napięcie seksualne”. To znaczy, że czują do siebie pociąg fizyczny.

- Naprawdę?

- Od pierwszej chwili, kiedy się poznali, wiedziałam, że tak będzie. Wróżka mi przepowiedziała. Powiedziała, że spotkam swoje przeznaczenie w błękitnej sypialni w złocistym domu. Mówiła też, że będzie wiele zmian, ale same dobre. dla mnie i mojego syna.

- I jedną z tych zmian ma być lady Elizabeth? Betsy skinęła głową.

- To najlepsza ze wszystkich znanych mi panien. Urocza dziewczyna. Bardzo miła. Na pewno będzie cudowną matką dla moich wnuków.

- Dzieci? Nigdy mi nie wpadło do...

Betsy zdała sobie sprawę, że popełniła taktyczną pomyłkę.

- E tam - machnęła ręką, jakby odganiając myśl o gromadce małych Martinów. - Na to przyjdzie jeszcze czas.

- I oczywiście będą miały nianie.

- Oczywiście. - Po moim trupie, dodała w duchu. - Ale najpierw musimy sprawić, żeby Sam i Elizabeth byli razem.

- Kazała mi spakować jego rzeczy i odwieźć go do miasteczka.

- Zrobił pan to?

- Nie. Przyszedłem najpierw, żeby pani o tym powiedzieć. Przez całe przedpołudnie muszę być na dole. Mam pomagać przy śniadaniu, a potem oprowadzać gości po pokojach. - Ruckles aż sapał z oburzenia. - Nikt nie szanuje czasu pisarza.

- Ja tak - uspokoiła go Betsy. - Wiem, jak ważne jest dla pana pisanie. Będzie panu bardzo wygodnie, kiedy Sam się tu wszystkim zajmie. Znajdzie pan czas na swoje badania naukowe i zbieranie materiałów. Mnie sprawia to ogromną przyjemność - dodała, biorąc do ręki kilka listów.

- Powinna pani wrócić do łóżka. Za chwilę ktoś przyniesie pani śniadanie.

Betsy posłusznie weszła pod kołdrę i oparła się wygodnie o poduszki.

- Cudownie - westchnęła. - Kolejny dzień w tej uroczej posiadłości.

- Mam nadzieję, że natychmiast da mi pani znać, jeśli znajdzie pani coś interesującego.

- Oczywiście.

- I jeszcze jedno.

- Tak?

- Co mam zrobić z walizką pani syna?

- Niech pani nie robi nic. Na razie. Sam nie wyjedzie beze mnie. I na pewno nie zechce sprawić przykrości lady Elizabeth.

- Lady Liz się na niego gniewała.

- Mówiłam panu o napięciu seksualnym, prawda? Lokaj był wyraźnie przerażony.

- Skoro pani tak mówi, ale...

- Niech się pan o nic nie martwi. - Odprawiła go ruchem ręki. -

Proszę zająć się śniadaniem i oprowadzaniem gości. Ja zajmę się moim synem.

Ruckles chciał zaprotestować, ale widząc papiery w jej rękach, zmienił zdanie. Potrzebował pomocy. I to nie tylko w tej sprawie.

Wszystkie modlitwy zostały wysłuchane, tylko modlący się jeszcze o tym nie wiedzą.

- Tak jakby coś tam było - upierała się wciąż jeszcze przejęta Pattie. - Coś strasznie dziwnego.

- Coś było? - Elizabeth przerwała nakładanie kielbasek na talerz pani Martin. - O czym ty mówisz?

- Nie wiem, psze pani. Niczego przed sobą nie widziałam, a potem... nie wiedzieć jak na kogoś wpadłam.

- Na kogoś niewidzialnego.

- Tak, psze pani. Pół nocy nie spałam z powodu dziecka. Może po prostu byłam przemęczona.

Elizabeth odetchnęła z ulgą i wróciła do przygotowywania śniadania. Bezsenna noc młodej matki wszystko tłumaczyła.

- Idź dziś do domu wcześniej. Peggie i ja damy sobie jakoś radę bez ciebie.

- Już jest coraz lepiej. Johnny jutro nie idzie do pracy i obiecał, że dziś w nocy on będzie wstawał, więc nareszcie się wyśpię.

- Idź do domu i zdrzemnij się. Po południu i tak sama będę zajmowała się gośćmi. Zabieram ich na przejażdżkę po okolicy.

- Będą zachwyceni, psze pani. Pani też świeże powietrze dobrze zrobi.

Elizabeth postawiła na tacy talerz, szklanekę z sokiem, dzbanek świeżej herbaty i koszyczek pełen grzanek.

- Co masz na myśli?

- Odświeży się pani, nabierze kolorów. Nie powinna pani po całych dniach siedzieć w kuchni. Ależ to przystojny mężczyzna - zachichotała. Obie wiedziały, że nie ma na myśli lokaja. - Ci Amerykanie są tacy pociągający. A pani w ogóle za dużo czasu spędza Sama w Longley. Pora się trochę zabawić, psze pani.

- Nie wydaje mi się, żeby pan Martin był szczególnie rozrywkowy, Pattie.

Pattie puściła do niej oko.

- Takiego mężczyznę każda kobieta przynajmniej na chwilę wpuściłaby pod swoją kołdrę.

- Pattie! - Elizabeth odwróciła się i zamieszała smażące się jajka. - Na miłość boską!

- Jak się pani tu na dobre zagrzebie, nigdy nie wyjdzie pani za mąż - odparła Pattie, idąc z tacą ku drzwiom. - Spróbuję jeszcze raz, psze pani. Tylko tym razem będę się modlić. Tam na górze dzieje się coś dziwnego.

Elizabeth chciała zaprzeczyć, ale zrezygnowała. Rzeczywiście działo się wiele dziwnych rzeczy: kobieta mdlejąca w błękitnej sypialni, Amerykanin udający lorda Longforda, pokojówka przewracająca się o coś, czego wcale nie ma...

I jej niewytłumaczalny pociąg do Sama Martina.

To akurat musi się natychmiast skończyć. Na pewno uda jej się przez resztę dnia jakoś go unikać.

- Kochanie, co ci się stało w palec?

Sam nachylił się, pocałował Elizabeth w policzek, poklepał ją po ramieniu i przywitał się z trzema paniami jedzącymi śniadanie. Zamiast usiąść na drugim końcu stołu, wybrał miejsce obok Elizabeth i jednej z pań.

- Wygląda na coś poważnego - zauważyła Melissa Lee, przyglądając się sporemu opatrunkowi. Elizabeth zawahała się, a Sam podniósł filiżankę, by Peggie mogła ją napełnić.

- Dziękuję - rzekł, patrząc na swą „żonę”.

Czy przyzna się, że o północy zmywała naczynia? Bardzo w to wątpił.

- Skaleczyłam się dziś rano w ogrodzie - wyjaśniła.

- Powinnaś bardziej uważać, kochanie - zauważył Sam, wypijając łyk najgorszej kawy, jaką kiedykolwiek w życiu miał w ustach. - Takimi rzeczami powinien zajmować się wyłącznie ogrodnik.

- Masz rację.

- Kwiaty są tu przepiękne - powiedziała Phyllis. - Odbyłam wczoraj cudowny spacer po ogrodach.

- Jest ich, oczywiście, dużo mniej niż za czasów mojej babki - odezwała się swym arystokratycznym tonem Elizabeth - ale powoli przywracamy je do ich pierwotnego stanu.

Sam był bardzo ciekaw, kogo miała na myśli, mówiąc „my”.

Gotów był się założyć, że minionego lata nie raz miała w ręku szpadel. Taka kobieta na pewno ochoczo pracuje ramię w ramię ze swoim ogrodnikiem.

- Od jak dawna pani tu mieszka, lady Elizabeth? - spytał kolejny ranny ptaszek.

- Proszę mówić do mnie Liz albo Elizabeth - uśmiechnęła się gospodyni, a Sam popatrzył na nią z zachwytem. Z rozpuszczonymi włosami wyglądała wyjątkowo pociągająco.

- Jakie są plany na dziś, kochanie? - spytał, upijając łyk kawy. - Będziesz mnie do czegoś potrzebowała?

- Jeśli ktoś zechce obejrzeć okolicę, chętnie zorganizuję przejażdżkę. Tu niedaleko mieszkała kiedyś Jane Austen.

- Jaka Jane? - Sam celowo udał zdziwienie.

- Austen - powtórzyła Elizabeth i uśmiechnęła się do pani siedzącej po jej prawej stronie. - Mój mąż nie przepada za książkami - wyjaśniła, ale Sam zauważył oczywiście błysk wściekłości w jej oczach.

- Ale przecież ja czytam - zaprotestował Sam. - Zbieram wszystkie egzemplarze „Sportu”. Jestem zapalonym kibicem piłki nożnej. Rozumie pani, lata spędzone w Stanach...

- Nie będziesz nic jadł? - spytała Elizabeth.

- Za chwilę. - Skrzywił się, pociągając kolejny łyk kawy. - Ciekawe, kiedy się w końcu przyzwyczaję do tego płynu, który Brytyjczycy nazywają kawą.

- Dla ochotników mamy przejażdżkę. - Elizabeth zignorowała jego uwagę. - Dziś jest wspaniały dzień na wycieczkę.

- Czyli nie będę ci potrzebny - stwierdził z nie ukrywaną satysfakcją Sam.

- Nie, rzeczywiście, najdroższy. Do podwieczorku możesz powłóczyć się po ogrodach.

- W tym angielscy dżentelmeni są najlepsi - zauważył. Wstał, podszedł do kredensu, nałożył sobie na talerz różnych smakołyków, wziął gazetę i wrócił do stołu.

Kiedy panie po skończonym posiłku opuściły jadalnię, Sam został tylko z Elizabeth. Wolałby być sam, bo lubił czytać przy jedzeniu.

- Nie nabierzesz mnie - powiedziała.

- Premier spotyka się dziś z królową, by omówić światowe umowy handlowe.

- Nie chcę cię widzieć do podwieczorku.

- Kolejna bomba w Covent Garden - przeczytał i odłożył gazetę. - O której jest podwieczorek?

- O piątej.

- Dobrze.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - wycodziła przez zęby Elizabeth.

Zanim zorientowała się, co ma zamiar zrobić, ujął ją pod brodę i pocałował. Smakowała herbatą miętową, a jej wargi były tak samo miękkie i zapraszające, jak minionej nocy.

- Jeśli nie przestaniesz, będę...

- Kochanie, na to nie mamy teraz czasu - powiedział, słysząc czyjeś kroki. - Pozwól mi zjeść śniadanie.

- Lady Elizabeth? - zawołała Phyllis. - Czy mogłabym się przejść przed śniadaniem?

Elizabeth nachyliła się i szepnęła mu wprost do ucha:

- Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, upiekę pewne drobne części twego ciała na kolację.

- Oczywiście, że może się pani przespacerować - zwróciła się z uśmiechem do gościa. - Śniadanie nie ucieknie. Ma pani mapkę?

- One wcale nie są drobne - oburzył się Sam, ale Elizabeth zajęła się już Phyllis i przestała zwracać na niego uwagę. Po chwili wyszła z jadalni.

A Samowi odechciało się czytać. Elizabeth cudownie umie całować. Mimo protestów, odwzajemniła jego pocałunek. I to ją rozzłościło.

Sam nie wiedział, czemu tak lubi się z nią droczyć. Może dlatego, że jest taka poważna i stara się być we wszystkim, co dotyczy jej gości, stuprocentowo doskonała? Nie rozumiał, czemu to robi. Mogła przecież sprzedać tę posiadłość i żyć sobie gdzieś indziej jak królowa. Jeden z obrazów w holu to bez wątpienia Rubens. A rzeźba, stojąca pośrodku, to Rodin.

To nie w porządku, że taka kobieta jak ona zakopała się w podobnej ruinie. Ale to w końcu jej sprawa.

Jak tylko matka podniesie się z tego zakurzonego łóża, wyjadą stąd bez chwili zwłoki.

- Po podwieczorku pokażę paniom resztę pierwotnej części domu - obiecała gościom Elizabeth.

Jako dodatkową atrakcję podała podwieczorek w starej kuchni. To średniowieczne pomieszczenie, z belkowanym, sklepionym sufitem i pokrytymi sadzą kamiennymi ścianami, szczyliło się piękną kolekcją łbów łośi oraz żółwich pancerzy i zawsze wzbudzało zachwyt zwiedzających.

- Żółwie pancerze? Prawdziwe? - spytała Marje z Phoenix.

- Tak, na zupełną żółwiową. To musiała być jedna z ulubionych potraw moich przodków.

- Czy tutaj nadal się gotuje?

- Nie. Mamy nowoczesną przybudówkę w zachodnim skrzydle. Ale to wspaniale móc zobaczyć, jak przygotowywano posiłki czterysta lat temu.

Panie przyznały jej rację, a srebrnowłosa pani Canfield zapisała coś w notatniku. Melissa Lee nagle przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

- Czy ktoś coś słyszał?

Panie przestały jeść. Słuchały. Gdzieś ktoś śpiewał barytonem amerykański hymn, fałszując przy tym niemiłosiernie.

- Jak to miło mieć mężczyznę w domu - zauważyła jedna z pań. - Mój Robert też tak śpiewał.

- Śpiewa patriotyczną amerykańską pieśń - stwierdziła Nancy Mack.
- Czy to nie urocze?

Urocze? Elizabeth na pewno nie użyłaby tego przymiotnika. Zdziwiona spojrzała na sufit. Przecież to niemożliwe, by Sam był w tej części domu. Od lat nikt tam nie zaglądał. Ale śpiew bez wątpienia stamtąd właśnie dochodził. Jeśli to nie Ruckles odkrył urok amerykańskiej muzyki, to znaczy, że w starych pokojach jest jednak Sam.

Oczywiście robi jej to na złość. Powiedziała mu, że nie chce go widzieć do podwieczorku, więc postanowił, że zamiast tego będzie go słyszeć. I jej goście także.

W dodatku wcale nie umie śpiewać. Elizabeth dołała paniom herbaty.

- Lord Longford jest bardzo... muzykalny. Zdaje się, że znakomicie się bawi i...

Od sufitu oderwał się ogromny płat tynku i strącił na podłogę wazę w kształcie żółwia. Panie zerwały się od stołu i skupiły w odległym kącie. Dorla krzyknęła. Barbara Canfield zaklęła pod nosem.

A potem wszystkie spojrzały do góry, gdzie w ziejącej dziurze widać było dyndające męskie nogi.

Śpiew ucichł.

Zgromadzone w starej kuchni kobiety usłyszały soczyste przekleństwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Sam! - krzyknęła Elizabeth. - Nic ci się nie stało?

Przeklinanie ustało.

- Lizzie? Gdzie jesteś?

- Pod tobą, w starej kuchni. Stało ci się coś? - spytała jeszcze raz.

- Jeszcze nie, ale utknąłem w tej choliernej dziurze! Elizabeth zwróciła się do gości.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli opuszczą panie kuchnię, a ja zajmę się... lordem Longfordem. Czy nikomu nic się nie stało?

Kobiety pokręciły głowami. Niektóre miały pył we włosach, ale większość nadal trzymała całe i pełne filiżanki. Pani Lee przyglądała się nogom Sama.

- Czy mogłybyśmy jakoś pomóc?

- Wyciągnij mnie stąd! - krzyknął Sam.

Elizabeth odpowiedziała najspokojniej, jak tylko mogła:

- Gdyby znalazły panie lokaja i posłały go do starej części domu, byłabym wdzięczna - rzuciła przez ramię, wybiegając z kuchni.

Tylnymi schodami wbiegła na górę, a potem w stronę wschodniego skrzydła.

Idąc za głosem stłumionych przekleństw, przeszła przez kilka nie używanych od trzydziestu lat pokoi i dotarła do łazienki.

- Sam? Co do jasnej

- To bardzo proste - odparł przez zęby. - Załamała się pode mną twoja zgniła szesnastowieczna podłoga. Nie podchodź, bo spadniemy oboje.

- Na pewno nic ci się nie stało?

Sam był nagi. Cudownie nagi, o ile dobrze widziała. Z mokrych włosów na jego wspaniałe ramiona kapąca woda. Był odwrócony do niej szerokimi, nagimi plecami, nie czuła się więc tak bardzo niezręcznie. Dużo bezpieczniej patrzeć na plecy niż...

- Chyba nie, ale coś wbija się w moje... udo, więc wolę się nie ruszać, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Wiedziała, o co mu chodzi. Na czworakach podpełzła bliżej.

- Daj zobaczyć.

- Zobaczyć? Mowy nie ma.

- Albo możemy poczekać na Rucklesa. To też mu się nie podobało.

- W takim razie zostanę tu aż do zmroku.

- Jestem twoją jedyną nadzieją. Obiecuję ci, że nie stracę głowy na widok nagiego mężczyzny - dodała i przysunęła się bliżej.

Nie było ani śladu krwi, większą część ciała Sama podtrzymywała podłoga łazienki i był w na tyle niezłej formie, że mógł się klócić.

Elizabeth uznała to za dobry znak.

- Rano groziłaś mi okaleczeniem. Wolę nie ryzykować - mruknął. -
Nie podchodź bliżej. - Jedną ręką chwycił ręcznik i owinął go szczelnie
wokół siebie.

- Kiedyś byłam zamężna - przypomniała mu. - Podobno wszyscy
nadzy mężczyźni są tacy sami.

Sam otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

- Mowy nie ma, moja pani. Pamiętam, że chciałaś pozbawić mnie
męskości. - Spojrzał w dół, na swą uwięzioną połowę. - Zdaje się, że ten
cholerny dom zrobił to za ciebie.

- Ojej, przestań narzekać - powiedziała, spoglądając w dziurę. -
Wpadłeś w ten dziwnie wyglądający fragment kuchennego sufitu.
Ciekawe, co to kiedyś było.

- Czy możemy o historii porozmawiać później?

- Prawe czy lewe? Które ci utkwilo?

- Prawe.

Lizzie nachyliła się i przesunęła ręką wzdłuż jego uda. Silnego,
potężnego, ciepłego uda. Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, co za chwilę
się stanie. Jeszcze kilka milimetrów i jej policzek dotknie ręcznika.

Palcami ostrożnie wymacała kawałek obłuzowanego tynku.

- Mam go - oznajmiła.

- Co masz?

Elizabeth nachyliła się jeszcze bardziej i wyciągnęła kawał tynku.

- Tynk. I nie czuję krwi. Boli cię?

- Ojej!

- Tak bardzo?

- Twój łokieć - rzekł, odsuwając jej rękę od swojego krocza. -

Chcesz mnie wykastrować czy co?

- Przepraszam - mruknęła i wróciła do roboty. - Tu nie ma przegniętego drewna, tylko sam gips. Ktoś kiedyś musiał zagipsować tę dziurę. - Dalej ostrożnie sprawdzała, czy nie ma gdzieś wystających gwoździ czy. dużych drzazg. - To pewnie był świetlik, sądząc po dziwnym kształcie. I to ty pierwszy postanowiłeś przez niego przeskoczyć.

- Przez nic nie skakałem. Po prostu wyszedłem spod prysznica. Chłodnego zresztą.

- Prosto do starej kuchni. Goście byli dość zdziwieni.

- Pewnie, zresztą ręczę ci, że nie tylko oni. Wyobraź sobie, że ja też. Miałem wrażenie, że lecę na spotkanie śmierci.

W niecałą minutę Elizabeth udało się obluzować na dobre kawał tynku. Usłyszeli, jak spada na dół, na potłuczoną zastawę. Elizabeth przysiadła, a Sam wyciągnął nogi z dziury. Upadł na plecy, pociągając za sobą swoją wybawicielkę.

- Twój ręcznik...

- Jest tu gdzieś...

- Lady Elizabeth, potrzebuje mnie pani?

W drzwiach stanął Ruckles i z wyraźną dezaprobatą spoglądał na swą chlebodawczynię, rozciągniętą jak długa na nagim gościu.

- Tak - udało jej się wyjąkać, choć ręka Sama spoczywała na jej pośladku. Wolą nie myśleć, jak duża część ciała Sama jest widoczna. - Mamy pewien problem z sufitem.

- Rozumiem. Dopilnuję, by wszystkie drzwi były pozamykane na klucz.

- Dziękuję, Ruckles. Byłabym wdzięczna, gdybyś zarządził podanie naszym gościom świeżej herbaty w bibliotece.

Lokaj skinął głową.

- Coś jeszcze, proszę pani?

- Nie, na razie dziękuję. Ruckles zamknął za sobą drzwi.

- Czy mógłbyś łaskawie zdjąć rękę z mojego... ciała?

Najpierw ją pocałował, co nie było szczególnie trudne, gdyż znajdowała się zaledwie parę centymetrów od niego i nie próbowała mu przeszkodzić. I wcale nie była zaskoczona. Przyjęła pocałunek jako nieuchronny skutek ich bliskości. Zresztą właściwie od samego początku zawsze w jego obecności myślała o seksie.

Tym razem Sam pierwszy przerwał pocałunek i odsunął się od niej.

- Przepraszam. Wykorzystałem cię, by się okryć. Nie wiedziałem, kto idzie.

- Następnym razem może raczej skorzystaj z ręcznika - powiedziała, wstając, Elizabeth. Starła się na niego nie patrzeć. - I bierz prysznic w swojej łazience.

- Tam nie ma prysznic, tylko wanna. Liz otrzepała kurz z dżinsów.

- To bierz kąpiel.

- Nie lubię, ale spróbuję się przyzwycząić. I od tej pory będę uważał na każdy mój krok. Tu jest bardzo niebezpiecznie - rzekł. Wstał i jęknął. - Miałem cholerne szczęście, że ocalałem moją męskość.

- A ja, że nie pokazałeś jej moim gościom. Elizabeth przymknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę

dziękczynną do bogów turystyki.

- Gdzie, do diabła, jest moje ubranie?

Elizabeth otworzyła oczy i zobaczyła rzeczy Sama, porządnie złożone obok umywalki. Był nagi, więc rzuciła je w jego stronę, szybko odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Wiedziała, że Sam celowo chce

doprowadzić ją do szału. To była część jego planu - planu zniszczenia jej przedsięwzięcia oraz Longley, budowli od 1515 roku dzielnie opierającej się upływowi czasu.

- Nie chcesz wiedzieć, jak lord Longford spędził dzień?

- Raczej nie - rzuciła przez ramię.

- Niech będzie - parsknął śmiechem Sam. - Poczekam, aż sama zauważysz.

- Dziękuję panu bardzo. Dość już widziałam jak na jeden dzień. - Te ostatnie słowa powiedziała już w korytarzu.

Sam był pewien, że Liz zmieni zdanie. Włożył czystą koszulę i spodnie, zabrał swoje brudne rzeczy i bosy przeszedł przez amfiladę kilku niewielkich pokoi aż do holu. Pod ogromnym portretem kobiety z trzema paskudnymi psami czekał na niego Ruckles.

- Pan sobie życzy?

- Czy przyszedłeś, żeby wyprowadzić mnie z tego labiryntu?

- Lady Elizabeth wolałaby, żeby ograniczył pan swoje wycieczki do zachodniego skrzydła. Prosiła, żebym odprowadził pana do pańskiego pokoju.

- Nie bój się. - Sam ruszył za lokajem długim korytarzem. - Nie powiem jej, że to ty pokazałeś mi, gdzie mogę wziąć prysznic.

- Już to wyjaśniłem. Rozumiem, że nic się panu nie stało?

- Nie.

Kilka siniaków i zadrapań to nic w porównaniu z tym, co mogłoby się stać. Zimno mu się zrobiło na samą myśl.

- Wspaniale.

Łatwo lokajowi mówić. To nie on spędził popołudnie, zastanawiając się, jak naprawić cieknący dach, i nie on ukazał swoje nagie ciało kilku zaskoczonym paniom.

Betsy nudziła się.

Ruckles przyniósł jej kolejny kufer z papierami i od tamtej pory się nie pojawił. Uznała, że w dawnych wiekach Anglicy musieli mieć mnóstwo wolnego czasu. Od czytania drobnego, wypłowiałego pisma w siedemnastowiecznych listach rozbolały ją oczy. Przeczytała o krótkim pobycie w Longley Olivera Cromwella. Dowiedziała się o dziełach sztuki nabytych podczas podróży czwartego lorda na kontynent. Przeczytała o zbiorach, małżeństwach, narodzinach i zgonach. Nie znalazła jednak żadnej wzmianki o meblach ani o tej najważniejszej wizycie.

Nie miała do kogo otworzyć ust. Sam wpadł dwa razy przed obiadem, ale od tamtej pory więcej się nie pojawił. Lady Elizabeth też zajrzała tylko na krótką pogawędkę po powrocie z przejażdżki po okolicy. Betsy podeszła do okna i zachwyciła się czystym, błękitnym niebem. Dużo by dała, żeby zobaczyć dom, w którym mieszkała Jane Austen, ale pocieszała się, że będzie na to czas, kiedy Sam i Elizabeth już się pobiorą.

Była zaproszona na herbatę w starej kuchni. Oczywiście, gdyby czuła się na siłach. Przed obiadem planowano obejrzenie skarbcza, a po obiedzie miał wystąpić miejscowy chór. Peggie, która wpadła na chwilę, zdradziła jej, że na obiad będzie zapiekanka z kurczaka i trzy rodzaje deserów.

Betsy wygramoliła się z łóżka i wykonała kilka podskoków. Nadal nie wiedziała niczego nowego o łożu królowej, ale za to całkiem sporo o książce Rucklesa. Facet był dokładnym kronikarzem, ale brak mu było odrobiny fantazji, która uatrakcyjniłaby jego książkę. Betsy przeczytała

dwa pierwsze rozdziały i wiedziała, że trzeba będzie je ożywić. Inaczej czytelnik po dziesięciu minutach zaśnie.

Robiła właśnie trzynastą pompkę, kiedy usłyszała w holu jakieś kroki. Z nadzieją, że może ktoś ze znudzonych gości zechce dotrzymać jej towarzystwa, otworzyła drzwi. Korytarzem szło kilka bardzo zaaferowanych pań.

- Witam! - zawołała i zaprosiła je do środka. - Zabłądziły panie?

- Peggie prowadzi nas do biblioteki na herbatę.

- Myślałam, że podwieczorek będzie podany w starej kuchni.

Gotowa na dłuższe pogawarki, Betsy szybko wróciła do łóżka.

- Owszem, ale... - zaczęła jedna z pań, ale zawstydzona, przerwała.

- Może przyniosę herbatę tutaj i panie złożą pani Martin krótką wizytę? - zaproponowała pokojówka.

- Wspaniale - ucieszyła się Betsy. - Co się stało? - Wyraźnie zainteresowana, zwróciła się do gości.

- Lord Longford miał mały wypadek - wyjaśniła jedna z pań. - Przeleciał przez sufit w kuchni.

- Co takiego?

- Przeleciał przez sufit. No, nie do końca. Jego nogi były w kuchni, a reszta...

- Reszta była na górze - dokończyła inna pani. - Zdaje się, że był na trzecim piętrze, bo sufit w tej kuchni jest bardzo wysoki. Brał chyba prysznic. Wie pani, jak mężczyźni lubią śpiewać podczas kąpieli.

Betsy odrzuciła kołdrę. Postanowiła natychmiast sprawdzić, czy z synem wszystko w porządku.

- Gdzie on jest?

- Nic mu się nie stało - uspokoiła ją srebrnowłosa dama. - Tak mówił Ruckles.

- Jak zobaczę, to uwierzę - mruknęła Betsy, ale pozostała w łóżku.

- Pewnie się teraz ubiera.

- Brał prysznic?

- Tak zrozumialiśmy.

- To znaczy, że był wtedy nagi? Panie skinęły głowami.

- I była z nim lady Elizabeth? Znów kiwnięcie.

- Wspaniale - westchnęła Betsy i opadła na poduszki. - Absolutnie wspaniale. Czy chciałyby panie usłyszeć o moich historycznych poszukiwaniach?

Straciła rozum, straciła cierpliwość i straciła gości. Tak podsumowała swoją sytuację Elizabeth. Była sama w zupełnie pustej bibliotece. Oświetlał ją tylko płonący na kominku ogień. Nalała sobie kieliszek sherry i usiadła w skórzanym fotelu dziadka, by zastanowić się nad swoją przyszłością.

Przyszłość to bardzo niepewna rzecz. Podobnie jak małżeństwo, spadek i kaprysy bardzo konserwatywnej rady powierniczej. Przyszłości można się bać albo ją planować. I trzeba uważać, bo los lubi płać figle. Mąż sobie poszedł, spadek okazał się obłożony mnóstwem zastrzeżeń, a grupa wszechwładnych staruszków decydowała o każdym szylingu wydanym na remont domu, który najchętniej po prostu by sprzedali.

Elizabeth upiła duży łyk sherry i wyciągnęła nogi w stronę ognia. Samotność działa jak lekarstwo, podobnie jak alkohol. Może goście po prostu zabłądzili. Albo też wpadli w jakąś dziurę i wołają o pomoc.

Niech sobie wołają. Ma teraz na sobie świeże spodnie i czystą, białą bluzkę, jest jej dobrze, popija sobie sherry, a goście pewnie piją herbatę w jadalni. Ruckles na pewno źle zrozumiał jej polecenie. Powinna ich poszukać.

Kiedy usłyszała w holu jakieś szybkie kroki, od razu wiedziała, do kogo należą. A niech go diabli!

- Nie ma podwieczorku?

Mogła się domyślić, że ją znajdzie. Ponieważ był ostatnią osobą, jaką miała ochotę widzieć, nawet się nie odwróciła, żeby zaprosić go do środka.

- Tutaj nie, ale gdzieś chyba powinien być.

Sam jednak wszedł do biblioteki i podszedł do służącego za barek stolika.

- W takim razie wezmę whisky.

- Poczęstuj się.

Zrobił to nawet bez zachęty. A potem usiadł w fotelu obok.

- Nie zapytasz, jak się miewam?

- Nie. Jestem pewna, że dobrze. Tacy jak ty nigdy nie narzekają na samopoczucie.

- Tacy jak ja? To znaczy jacy? Tacy, którzy podróżują z matką? Którzy noszą śmieszne stroje i przydeptają damskie suknie? Którzy spadają goli z sufitu. Któ...

- Oj, przestań. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Wolałbym, żebyś ty mi powiedziała - rzekł nagle poważnym tonem.

- Sam dobrze wiesz. Jesteś mężczyzną.

- Rozumiem - westchnął. - Twój były mąż jest draniem, tak? To on miał tu być w ten weekend.

- Anthony. Tak. Jest moim kuzynem. Bardzo dalekim, ale jako jedyny męski potomek rodu po śmierci mojego dziadka odziedziczył tytuł. Mój ojciec był jedynakiem i zmarł, kiedy miałam dwa lata.

- A ty wyszłaś za kuzyna Anthony'ego, żeby zatrzymać posiadłość?

- Niezupełnie. - Oczywiście, wszyscy tak myśleli. - Majątek stał się własnością funduszu powierniczego, który ustanowił mój dziadek dla uniknięcia wysokich podatków spadkowych. Jego członkowie, choć niezbyt chętnie, wyznaczyli mnie jego opiekunką. Mogę tu mieszkać - wraz z dziećmi i wnukami - dopóki Longley będzie przynosiło pewien dochód. Podkochiwałam się w Anthonym od lat. Nigdy nie zrozumiałam, czemu się ze mną ożenił.

- Powiedziałbym, że to oczywiste. Elizabeth pokręciła głową.

- Chyba było mu mnie żal. Moja matka umarła, kiedy miałam dwanaście lat, i wychowywał mnie w tym domu dziadek. Nie byłam ładnym dzieckiem. I nie ma tu wcale tak wiele pieniędzy. W każdym razie nie tyle, ile mogłoby się wydawać. Obrazy, srebro, wszystko, co ma jakąś wartość, jest częścią funduszu i nie może być sprzedane. Nawet po to, by zdobyć pieniądze na nowy dach.

- Nie o to... Zresztą nieważne. - Sam odstawił szklanę na stół i nachylił się ku Liz. - Co ten drań Anthony zrobił?

- Lubił inne kobiety. Wiele kobiet. Czekają na niego sporo pieniędzy, które miał odziedziczyć dopiero w dniu ślubu. Nieźle sobie to wykombinował - tytuł, pieniądze i ten majątek.

- A jego żona?

- Żona była zbyt zakochana, by zrozumieć, że jej uroczy mąż nie ma zamiaru zostać i zająć się Longley.

- Nie powinnaś mieć do niego pretensji. Longley wymaga pełnoetatowej pracy.

Elizabeth uśmiechnęła się smutno.

- Nie winię go, że nie chciał Longley. To był mój dom, nie jego. - Winię siebie, bo nie chciał mnie, pomyślała. - Próbuję ocalić ten dom i mam nadzieję, że któregoś dnia nie zwali mi się na głowę.

- Dziś omal nie zwałił się na mnie - zauważył.

- Tylko nie mów, że masz zamiar pozwać mnie do sądu. Słyszałam, że Amerykanie z powodu byle głupstwa lubią włożyć innych po sądach.

- Nigdzie cię nie pozwę, moja droga Lizzie. Mimo że jestem mężczyzną i w dodatku Amerykaninem, wcale nie jestem taki zły.

- Źle się zachowałam, przepraszam.

- A ja cię sprowokowałem.

Jego cichy śmiech był całkowicie rozbrajający.

- Możesz zostać do poniedziałku - zaproponowała. - I przepraszam, że kazałam Rucklesowi spakować twoje torby.

- Naprawdę?

- Tak.

Omala nie stracił życia w jej domu. Jego matka źle się tu poczuła. Była mu przynajmniej winna ten weekend.

- Z samego rana zajmę się tą dziurą. Trzeba ją czymś przysłonić, może po prostu deskami.

Była zbyt zmęczona, by odrzucić jego propozycję, szczególnie że do poniedziałku rano na pewno nie uda jej się ściągnąć żadnego cieśli.

- Będę ci bardzo wdzięczna.

- Ale pod jednym warunkiem. A co tym razem wymyślił?

- Ruckles będzie musiał mi pokazać drogę. Wciąż nie umiem poruszać się po tym domu bez błędzenia. - Wziął do ręki szklankę i dotknął nią jej kieliszka. - Rozejm?

- Rozejm - powtórzyła, stwierdzając w duchu, że Sam ma najpiękniejsze na świecie brązowe oczy. - To były bardzo dziwne dwadzieścia cztery godziny.

- Teraz będzie już spokojniej - obiecał Sam.

- Duch?

- Tak powiedziała. Duch samej królowej Elżbiety, tu, w tej sypialni.

- Moja matka ma bardzo bujną wyobraźnię, proszę pani. Jest pani pewna...

- Ależ tak. Wszystkie słyszałyśmy. Dokładnie. Pańska matka zaprosiła nas do swego pokoju na herbatę, pokazała nam materiały historyczne, a potem opowiedziała o tym duchu. Ellen i Marje robiły notatki.

- To było zaraz po pańskim... hm, wypadku. Tak się cieszymy, że nic się panu nie stało.

- Dziękuję. To był niesamowity szok.

- dla nas wszystkich.

- Bardzo przepraszam, że panie przestraszyłem. Podobała się paniom stara kuchnia? Niewiele już takich w Anglii zostało.

- Rzeczywiście, jest przepiękna, ale proszę mi powiedzieć, czy jeszcze w jakichś innych pokojach w tym domu są duchy?

Sam spojrzał na Elizabeth, siedzącą na drugim końcu stołu. Była zbyt pochłonięta rozmową, by mu pomóc.

- O ile wiem, to nie.

- Pańska matka jest taka zabawna. Miałyśmy przed kolacją oglądać skarbiec, ale zabrakło czasu. Lady Elizabeth powiedziała, że na pewno zrobimy to jutro, po wycieczce do miasteczka.

- Nie powiedział nam pan, że pański lokaj pisze książkę.

- Phyllis Nolan nachyliła się ku niemu. - Chętnie ją przeczytam, jak będzie gotowa.

Pani Lee kiwnęła głową.

- Zawsze chciałam napisać jakąś książkę. I kiedyś napiszę, jak będę miała czas.

- Zapiekanka jest przepyszna - rzekł Sam. - Będę musiał pochwalić kucharkę.

- Szwagierka mojej kuzynki pracuje w pewnym wydawnictwie w Nowym Jorku - odezwała się znowu któraś z pań.

- Mogę ją zapytać, czy interesują ich książki o historii Anglii. I o duchach.

- Naprawdę wątpię, czy są tu jakieś duchy - odparł Sam.

- Co dokładnie mama paniom powiedziała?

- Że duch królowej Elżbiety odwiedza błękitną sypialnię i że właśnie wczoraj pani Martin poczuła jego obecność i zemdląła.

- A rano ta słodka pokojóweczka na coś wpadła i upuściła tacę.

- Na coś niewidzialnego - dodał ktoś inny.

Sam podniósł salaterkę z marchewką i spojrzał na siedzące obok panie.

- Czy ktoś ma ochotę na dokładkę?

- Sami hodujecie swoje warzywa? Fałszywy lord nie miał pojęcia.

- Oczywiście - odparł. - Brytyjczycy są samowystarczalni.

I wszyscy się z nim zgodzili.

- Czy widział pan tu kiedyś ducha? Sam pokręcił głową.

- Nie. I wcale nie mam ochoty.

- Bał się pan kiedykolwiek?

Sam spojrział na piękną twarz Elizabeth. Owszem, była w Longley jedna rzecz, której śmiertelnie się bał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nie, proszę pani, nie powiem.

- No, Ruckles. Sam był nagi. Lady Liz była tam z nim. Coś musiało się stać. - Betsy odłożyła jakieś zakurzone pismo i wstała z krzesła. - Dopóki mi nie powiesz, nie przeczytam ani jednego słowa więcej z tych prehistorycznych papierzysk.

Lokaj zastanawiał się przez chwilę.

- Lady Elizabeth pomogła pani synowi w potrzebie.

- To znaczy?

- Uwolniła go z dziury w suficie.

- Słyszałam, że był wtedy nagi. To prawda?

- Pan Martin niedawno skończył kąpiel i nie zdążył się jeszcze ubrać.

Betsy wzięła się pod boki. Żaden lokaj nie pozbawi jej interesującej opowieści. A ta, sądząc po jego minie, musi być bardzo interesująca.

- No, mów dalej. Co jeszcze? Ruckles westchnął.

- Kiedy wszedłem do łazienki, lady Elizabeth... przykrywała... nagość pani syna.

- Czym?

Historia robiła się coraz ciekawsza. Ruckles zakasłał.

- Soba, proszę pani.

- Leżała na nim?

- Częściowo. Przypuszczam, że upadli na plecy, po tym, jak udało im się wyswobodzić z tej dziury jego... udo.

- Rozumiem. - Miała ochotę skakać z radości, ale opanowała się i zamiast tego podeszła do portretu królowej. - Wiedziałam - powiedziała.

- Co takiego?

- Że są dla siebie stworzeni. Pańska lady potrzebuje mężczyzny, a mój Sammy powinien się ustatkować.

- Chyba trafiła pani w samo sedno. Pan Martin załatał przeciek w jednym z korytarzy wiodących do kuchni. A dziś rano chce zreperować tę dziurę w suficie.

- Widzi pan? Czy nie jest idealny dla Longley?

A czy Longley nie jest idealne dla wnuków? Tyle miejsc do zabawy w chowanego. Tyle wspaniałych ogrodów. Betsy wyobraziła sobie codzienne podwieczorki i rozkoszne małe dziewczynki w białych fartuszkach.

- Zdecydowanie bardziej pomocny niż poprzedni mąż - przyznał Ruckles. - Lord Anthony był raczej mało pożyteczny. I kazał sobie usługiwać po dziesiątej.

- Sam wcześniej się kładzie i wcześniej wstaje.

- Zauważyłem - stwierdził z aprobatą lokaj. - A kiedy nauczy się już poruszać po całym domu, w ogóle nie będę mu potrzebny.

- Znajdzie pan więcej czasu na pisanie. Być może będziemy mogli trochę się pospieszyć.

- Wtedy proszę dać mi znać. A w tej chwili muszę skończyć rozdział trzeci. Pani wybaczy?

Betsy nie odrywała oczu od podobizny królowej.

Może się myłę. Może w tym pokoju nie straszy. Może to tylko ten portret.

Ruckles stanął obok niej i też przyglądał się rudowłosej królowej.

- Być może uda mi się znaleźć coś na jego temat. Wszystkie dzieła sztuki znajdujące się w Longley zostały skatalogowane za czasów mojego ojca. Lady Elizabeth powinna o tym wiedzieć.

Betsy westchnęła.

- Nie znalazłam nic, co by wskazywało, że królowa kiedykolwiek spędziła noc w Longley, ale jestem przekonana, że w tym pokoju straszy. Czuję to. Na pewno dawni mieszkańcy Longley też to czuli.

- Są kufry z różnymi świadectwami historycznymi, do których nikt nigdy nie zaglądał, w każdym razie nie w tym wieku. Jutro spróbuję je wydobyć, ale teraz postaram się skończyć rozdział o drugim lordzie i jego dyplomatycznych wysiłkach w Europie.

Betsy wydawało się, że takie „rewelacje” nie trafią raczej na listę bestsellerów.

- Porobiłam trochę notatek, ale większość tych materiałów dotyczy codziennego życia rodziny. To byli bardzo płodni ludzie, nie uważa pan?

- Tym akurat aspektem jeszcze się nie zajmowałem.

- Może mi pan wierzyć. - Betsy znów opadła na fotel. - To piękny pokój. Nie dziwię się, że królowa chętnie tu wraca.

- Szkoda, że nie zajrzy do pokoju muzycznego i nie zakończy tego wieczoru - rzekł lokaj. - Nudzą mnie już te angielskie ballady, choć gościom wyraźnie się podobają.

- Mówi pan o tym, co śpiewają? Nawet z holu słabo było słycać.

- To zespół madrygalistów, proszę pani. Miejscowy. Śpiewają wyłącznie angielskie ballady. Mam ich już powyżej uszu - mruknął. - Wolałbym coś współczesnego.

- Ja też. - Betsy ziewnęła i przeciągnęła się. - Niech pan nie zapomni przynieść mi rano tych dokumentów. Chciałabym znaleźć jakiegoś ducha. I synową.

- Tak jest, proszę pani.

Lokaj skłonił się i zostawił Betsy samą.

Przydałaby się jej pomoc królowej. Jest coraz mniej czasu.

- Naprawdę nie powinna pani mówić moim gościom, że w Longley straszy - powiedziała spokojnym, ale zdecydowanym tonem Elizabeth.

Przyniosła matce Sama śniadanie i miała nadzieję, że uda jej się namówić starszą panią, by zanadto nie fantazjowała.

- Ależ, kochanie - zasmuciła się Betsy. - Czy to coś złego? Chciałam zabawić twoich gości. Te biedne panie chodziły po domu i nie bardzo wiedziały, co robić.

- Naprawdę?

- Tak. Zdenerwował je wypadek Sama. Mnie zresztą też. Poprosiłam więc, żeby podano nam herbatę tutaj i starałam się je jakoś zabawić. - Betsy poklepała leżącą obok niej kupkę papierów. - Studiuję, jak widzisz.

Elizabeth przysunęła sobie krzesło do łóżka i usiadła. Była na nogach już od piątej rano, bo musiała przygotować śniadanie i plan dnia. Spała tylko trzy godziny. Leżała bezsennie, rozmyślając o przystojnym, brązowookim Amerykaninie.

- Co konkretnie?

- Nie wiedziałaś? Pomagam Rucklesowi w jego badaniach. Próbujemy znaleźć jakąś wzmiankę o wizycie w Longley królowej Elżbiety I.

- Nie wiedziałam, że tutaj kiedykolwiek zawitała. To była druga wiejska rezydencja lorda i niezbyt nadawała się na przyjmowanie gości. Betsy westchnęła.

- Wiem, ale jak tylko weszłam do tego pokoju, poczułam jej obecność. Po prostu wiem, że ona tu jest.

Elizabeth z trudem zachowywała cierpliwość.

- Ale nie powinna pani opowiadać ludziom, że królowa tu straszy.

- Nie? Przecież to prawda.

- Nigdy nie widziałam żadnego ducha, a mieszkam tu całe życie.

- Może po prostu się przyzwyczaiłaś i nawet nie zauważasz jej obecności.

- Proszę pani, gdybym zobaczyła ducha, na pewno bym to zauważyła. I zapamiętała.

- Ja też - odezwał się od progu Sam. - Mamo, przestań opowiadać te historie. Dzień dobry, Lizzie. Brakowało mi ciebie podczas śniadania.

- Byłam w kuchni.

- Wiem. Szukałem cię.

Szukał jej. Brakowało mu jej. To bardzo miłe.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, Sam - powitała go też matka i uśmiechnęła się, kiedy ją pocałował. - Wcześniej dziś wstałeś.

- Przecież już po ósmej. Nie śpię od dawna. Widzę, że wciąż czytasz. Znalazłaś coś o duchach?

- Trochę - odparła, a Elizabeth jęknęła. - Różne krwawe historyjki, ale akurat nie to, czego szukam.

- Proszę cię, nie zachęcaj matki - zwróciła się Elizabeth do Sama. Zauważyła ciemne kręgi pod jego oczami. Czyżby również źle spał?

- Do czego?

- Do szukania dowodów na pobyt królowej w tym domu.

- Wczoraj przy kolacji panie opowiadały mi o swoich odwiedzinach u ciebie - zwrócił się Sam do matki.

- Było bardzo miło.

- Podobno. Były zachwycone twoimi opowieściami. - Sam przysiadł na brzegu łóżka.

- Zachwycone? - zdziwiła się Elizabeth.

- Tak - odparł Sam, - Nie mówiły ci?

- Owszem, ale odniosłam wrażenie, że były raczej wystraszone. Betsy poklepała Elizabeth po ręce.

- Ludzie lubią być straszeni. Uwierz mi, wiem, o czym mówię. Duchy mogą tylko pomóc twemu przedsięwzięciu.

- Nie chcę, by turyści przyjeżdżali tu z tego powodu, proszę pani. To historyczne miejsce. Chciałabym, żeby ludzie zachwycali się zabytkowym domem, który przetrwał ponad pięćset lat.

- Rozumiem, rozumiem, ale z duchem będzie jeszcze ciekawszy.

- Nie sądzę, żeby lady Elizabeth chciała zrobić ze swego domu wesołe miasteczko.

- Oczywiście, że nie, Sammy. Nikt jej o to nie podejrzewa.

Elizabeth nie miała więcej argumentów. Uznała, że historia będzie dużo bezpieczniejszym tematem niż duchy.

- Czy znalazła pani coś wyjątkowego o moich przodkach? Wiem, że Ruckles zbiera informacje do swojej książki, ale jest dopiero na początku.

- Nic wstrząsającego. Te listy są pomieszane, dzienniki też. Nigdy nie wiem, na co się natknę. Jest mnóstwo zapisów o narodzinach i zgonach, a także o sprawach politycznych. Longfordowie to bardzo dyplomatyczni ludzie.

- Dyplomatyczni? - zdziwił się Sam.

- Ja odziedziczyłam geny po matce - wyjaśniła mu Elizabeth.

Betsy poklepała ją uspokajająco po ramieniu.

- To nic złego, że ktoś jest szczery. Kobiety, z którymi zazwyczaj spotyka się Sam, wdzięczą się, przewracają oczami i chciwie chłoną każde jego słowo.

- Wdzięczą się? Nie zgadzam się. Tylko dlatego, że uważają mnie za kogoś wyjątkowego, nie znaczy, że...

- Daj spokój, Sam. Niedobrze mi się robi, jak na nie patrzę. Gdzie ty je znajdujesz?

Sam wstał i podszedł do drzwi.

- Nie mam zamiaru omawiać mego życia osobistego z kobietą, która wymyśla historie o duchach.

- Co ożywiło nieco panującą tu atmosferę. Nie obraż się, moja droga, ale temu domowi przyda się trochę dodatkowej podniety.

Dodatkowej podniety? Elizabeth spojrzała na Sama i jego tak samo niedowierzającą minę.

- Proszę pani, w ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin mój stan posiadania powiększył się o dziesięcioro bardzo ważnych gości, dziurę w suficie, męża, teściową i zmyślonego ducha. Było mi bardzo miło panią poznać, ale nie potrzebuję żadnych dodatkowych podniet.

- Wszystko ma też swoje dobre strony - wtrącił się Sam. -
Zauważyłaś może, że w kuchennym korytarzu nie ma już kałuży?
- Naprawdę?
- Przydałby ci się nowy dach, ale na razie naprawiłem ten występ.
Tymczasowo.

Przydałoby jej się wiele rzeczy, nie tylko nowy dach. Wśród nich taki mężczyzna, jak on. Szkoda, że i on jest tu tylko tymczasowo.

- Bardzo ci dziękuję, ale naprawdę nie musiałeś tego robić.

Sam wzruszył ramionami i podszedł do drzwi...

- To była dla mnie czysta przyjemność. Zjesz ze mną śniadanie?

- Tak, za chwilę.

- To bardzo dobry pomysł - ucieszyła się Betsy. - Powinniście spędzać ze sobą więcej czasu i zachowywać się jak zakochane małżeństwo. Przecież wszyscy chcemy, żeby nasi goście widzieli w nas jedną wielką, szczęśliwą rodzinę, prawda?

Sam posłał matce - a może Liz - pocałunek i zniknął za drzwiami.

- Sam to prawdziwa złota rączka. Szczęśliwa będzie kobieta, która go poślubi - zauważyła z typową dla niej szczerością pani Martin.

- Na pewno - zgodziła się z nią Elizabeth. Wstała i odstawiła krzesło.

- A ty, moja droga? Nie chcesz chyba powiedzieć, że taka urocza młoda dama nie myśli o małżeństwie?

Elizabeth przystanęła w drzwiach i spojrzała prosto w błękitne oczy starszej pani.

- Raz już byłam zameżna, proszę pani. I nawet ktoś taki, jak pani syn, nie namówi mnie na to ponownie.

Starsza pani nie uwierzyła w ani jedno jej słowo.

- Mniejsza o to. Dalej będę szukać ciekawostek dla Rucklesa. Ma dziś donieść jeszcze kilka pudeł, więc może uda mi się znaleźć coś ciekawego. Kilka pań zaoferowało swoją pomoc, więc pewnie wszystko szybciej pójdzie.

- Kilka pań? Moich pań?

- Powiedziały, że nie mogą się doczekać. Nie masz nic przeciw temu, moja droga, prawda?

- No, cóż.

- Dziś tak pada. Przynajmniej będą miały jakieś zajęcie.

- Skoro ma im to sprawić przyjemność - zgodziła się niechętnie Elizabeth. - Chciałam co prawda zabrać je na wycieczkę.

- To pewnie będzie zabawniejsze niż czytanie starych papierzysk, ale w taki deszcz niektóre z pań będą chyba wolały zostać w domu.

- Może ma pani rację.

- Damy ci znać, jeśli znajdziemy coś ciekawego - rozpromieniła się pani Martin.

Elizabeth miała nadzieję, że nic takiego się nie stanie. - Tylko żadnych więcej opowieści o duchach, dobrze?

- Nie psuj nam zabawy. Z faktami zresztą się nie dyskutuje.

- Tylko niech pani nie przesadzi. Nie chcę, żeby potem moich gości męczyły senne koszmary.

- Tylko historyczne fakty, obiecuję. Ruckles ma poszukać jakiegoś katalogu obrazów. I przyniesie nam jeszcze kilka pudeł.

- Zdaje się, że dzieła sztuki skatalogowano przed śmiercią mego dziadka. Postaram się znaleźć ich spis, choć wątpię, czy to pani pomoże.

- Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie. - Pani Martin nie dała się zbić z tropu.

- Poszukam tego po śniadaniu - obiecała Elizabeth i wyszła z pokoju.

Z początku dom wydał jej się zupełnie cichy, dopiero przy schodach usłyszała, że gdzieś ktoś gwizdże jakąś ludową, amerykańską piosenkę.

Mimo zamieszania, jakie wniósł do Longley, Sam umie ją rozbawić. Jego matka jest może ekscentryczką, ale uroczą. Poza tym Sam zlikwidował tę cholerną kałużę.

Mowy nie ma, bym się zakochała, powtarzała sobie w duchu, idąc na wspólne z nim śniadanie.

- Co to są za cuda?

Sam wszedł trzy kroki w głąb czegoś, co kiedyś było salonem. Szedł jak mógł najostrożniej, mijając szeregi biało-niebieskich naczyń.

- Stara chińska porcelana. Ostrożnie. Próbuję ją skatalogować.

Elizabeth wskazała mu ogromny stół, zastawiony porcelanowymi miseczkami, dzbankami, półmiskami, figurkami i buteleczkami.

- To moje zadanie na zimę. Zebraliśmy wszystko w jednym pokoju, żeby był do nich łatwy dostęp.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Nie ty jeden. - Elizabeth w zamyśleniu ostrożnie dotknęła jednej z miseczek. - Zeszłego lata odkryłam, że kolekcja piątego lorda jest najprawdopodobniej bardzo cenna. Rzadko się zdarza tak wielki zbiór siedemnastowiecznej porcelany w jednym miejscu.

- Co masz zamiar z tym zrobić?

- Jak to wszystko skataloguję, wezwę eksperta i zorganizujemy wystawę. Mam nadzieję, że przyciągnie do Longley jeszcze więcej zwiedzających.

Sam wyobraził sobie hordy ubranych na biało-niebiesko turystów.

- Musimy mieć coś, co będzie nas wyróżniało.
- Coś lepszego niż duch królowej Elżbiety?
- Nie żartuj - obruszyła się Elizabeth. - Cała okolica by się ze mnie

śmiała.

- Dlaczego?

- Nie ma dowodów, że królowa kiedykolwiek tu była. Krążyły takie opowieści, że miała przyjechać, ale wizytę odwołano z powodu choroby jednej z córek lorda. To chyba była ospa. Królowa nocowała gdzie indziej, co oczywiście wywołało wielkie rozczarowanie w rodzinie.

Elizabeth przeszła ostrożnie przez pokój, zaglądając za krzesła i kanapy.

- Czy Ruckles o tym wie?

- Słyszał o tym, ale chciałby mimo to znaleźć jakieś dowody, że przyjechała w późniejszym terminie. Uważa, że gdybyśmy mogli udowodnić, że królowa tu spała, podniosłoby to znaczenie Longley.

- Oczywiście w błękitnej sypialni.

Elizabeth podeszła do stołu i zaczęła przeglądać kupkę jakichś magazynów.

- Być może. Kiedy babka remontowała część domu, wiele mebli zmieniło swoje miejsce.

- Szukasz czegoś? Może ci pomogę?

- Dobrze. Trzy tomy w brązowej skórze.

Bum.

Coś ciężkiego upadło na podłogę w pomieszczeniu nad nimi i wstrząsnęło powalą biblioteki. Gipsowa ozdoba rozmiaru potężnego talerza oderwała się od sufitu i rozbiła o podłogę. Stuknęła tylko coś

stojącego na dywanie i, na szczęście, o włos minęła zastawiony cenną porcelaną stół.

Elizabeth zasłoniła twarz rękami, ale Sam chwycił ją za ramię i wciągnął pod stół.

- Dużo się stłukło? - spytała po długim milczeniu.

Sam ostrożnie wysunął głowę i zobaczył, że z sufitu nic już nie zwisa.

- Stąd nie widzę. Ten dom kiedyś kogoś zabije. Co tam jest nad nami?

- Jakieś graciarnie. Coś musiało tam spaść, ale nie mam pojęcia co. No, w każdym razie nam nic się nie stało.

Elizabeth wypełzła spod stołu, żeby ocenić rozmiar zniszczeń. Sam wysunął się za nią, ale cały czas spoglądał na sufit.

Jakimś cudem naczynia na stole ocalały. Ucierpiała tylko jedna waza, prywatnym zdaniem Sama wyjątkowo obrzydliwa. Elizabeth jednak była bardzo zdenerwowana.

- Szybko, musimy znaleźć dla nich jakieś bezpieczne miejsce.

- To znaczy?

- Nie mam pojęcia - przyznała bezradnie.

Była tak smutna, że marzył, by wziąć ją w ramiona i pocałować, żeby zapomniała o tych wszystkich naczyniach, potłuczonych czy nie. - A ty?

- Pod stół - zaproponował po chwili namysłu.

- Teraz chyba jesteśmy już bezpieczni, Sam, ale...

- Ustawimy te sko... te naczynia pod stołem. W razie gdyby coś jeszcze spadło, będą bezpieczne. Wejdz pod stół, a ja będę ci podawał.

- Dobry pomysł. - Elizabeth zawahała się na moment. - Może najpierw powinniśmy zajrzeć na górę, czy nikomu się nic nie stało?

Sam podał jej dwie figurki.

- Są tam przecież pokojówki, prawda?

- Racja - przyznała Elizabeth i na sekundę zniknęła pod stołem.

- Jeśli coś się stało, na pewno będą cię szukać.

- Chyba rzeczywiście. - Elizabeth znów spojrzała na sufit, ale nadal ostrożnie ustawiała naczynia pod stołem. - Wolę sobie nie wyobrażać, co by było, gdybyśmy to wszystko stracili.

- Szczęściara z ciebie - rzekł, wręczając jej porcelanowego ptaszka. - To już ostatnia rzecz, cała i bezpieczna.

Co powiedziawszy, Sam nachylił się i pocałował ją. Tylko raz. I tylko króciutko. Tak sobie obiecał. Dopóki nie odwzajemniła jego pocałunku.

- Znalazłaś ją?

Pattie skinęła głową i spojrzała najpierw na Rucklesa, a potem na Betsy.

- Tak.

- I musiałaś jej wyjaśnić, co się stało?

- Nie.

- To dobrze - szepnęła Betsy. Nie chciała, by usłyszały ją obecne w pokoju panie. Tak się dobrze całe rano bawiły. - Czyli nic się nie stało.

Ruckles też się uspokoił.

- Wobec tego nie będziemy musieli informować lady Elizabeth o tym naszym... małym wypadku. Zobaczę, czy nie jestem potrzebny na dole, a potem wrócę z następnym pudłem - zwrócił się do Betsy.

- Ale błagam cię, uważaj.

Gdyby Elizabeth dowiedziała się, że szukając starych dokumentów, lokaj zrzucił rolki dywanów, mogłaby raz na zawsze zakazać wszelkich badań.

Pattie zastąpiła mu drogę.

- Panie Ruckles, uważam, że lepiej, żeby pan teraz nie przeszkadzał lady Elizabeth, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

- Naprawdę? - zainteresowała się Betsy.

- Tak, proszę pani. Naprawdę.

- Cudownie.

- O czym ty gadasz? - dopytywał się lokaj. Pattie uśmiechnęła się.

- Lady Elizabeth z mężem są teraz sam na sam w trzecim salonie.

- Tam, gdzie złożona jest porcelana?

- Ruckles, strasznie pan zbladł - przeraziła się Betsy i podprowadziła go do obitej aksamitem ławeczki. - Proszę usiąść i spuścić głowę między kolana.

Ku jej zdziwieniu lokaj posłusznie skorzystał z jej rady. Betsy spojrzała na Pattie, która miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Co miałaś na myśli, mówiąc o sam na sam?

- Czy coś się stłukło? - spytał Ruckles.

- Trudno mi powiedzieć.

- Czy to odpowiedź na moje pytanie, czy Rucklesa?

- Na oba, proszę pani. Pan Sam i lady Elizabeth całowali się na podłodze, obok tego dużego stołu, na którym stały różne porcelanowe drobiazgi. Nie znosiłam ich odkurzać - dodała.

- Stały? - przestraszył się Ruckles. - Co to znaczy stały?

- Teraz ich nie widziałam. Stół był zupełnie pusty. Betsy nie miała ochoty rozmawiać o porcelanie.

- Opowiedz mi, co działo się na podłodze. Pokojówka zarumieniła się i zachichotała.

- Nie mogę! Nawet pani.

- Bogu dzięki - mruknął lokaj. - Nie mam ochoty słuchać kolejnego wykładu o „napięciu seksualnym” czy czymś podobnym.

- Nie przeszkadzajcie im - poleciła Betsy. - Zostało nam jeszcze niecałe czterdzieści osiem godzin. Zobaczycie, że lady Liz będzie z Samem bardzo szczęśliwa.

- Lady Elizabeth na pewno nie będzie szczęśliwa, jeśli się dowie, że byłem w tamtym zamkniętym pokoju i zagroziłem jej bezcennej porcelanie. Mogę się tylko modlić, żeby nic się nie stukło.

Betsy poklepała go po plecach.

- Czy nikt panu nigdy nie powiedział, że seks jest dużo zabawniejszy niż stara porcelana?

ROZDZIAŁ ÓSMY

- To szaleństwo.

- Masz rację. - Sam przerwał całowanie szyi Elizabeth. Pachniała różami. - Powinniśmy być w łóżku.

- Nie powinniśmy. - Elizabeth ujęła w dłonie jego twarz i przyciągnęła do siebie po jeszcze jeden pocałunek. - Powinniśmy być w pozycji pionowej, w porządnie zapiętych ubraniach.

- Nie. Powinniśmy być całkiem nadzy, za drzwiami zamkniętymi na klucz.

- To wcale nie jest dobry pomysł.

Sam był przeciwnego zdania. Chętnie jak najdłużej trzymałby rękę tam, gdzie w tej chwili - na bardzo ciepłej i bardzo miękkiej piersi.

- Powinniśmy zdjąć wszystko, co mamy na sobie, i kochać się nawet tu, na tym starym dywanie.

- Ten „stary dywan”, jak go nazwałeś, to osiemnastowieczny pers, a poza tym muszę sprawdzić, co spowodowało ten straszny hałas.

- Może duch królowej Elżbiety.

- Lepiej się nie śmieć.

A jednak Sam uśmiechnął się.

- Pozbieram potłuczone kawałki i zniszczę wszelkie dowody.

- Nie wyrzucaj ich. Może uda mi się to skleić. Sam spojrzał na potłuczoną na drobne kawałki wazę.

- Chyba żartujesz.

- Longfordowie nigdy niczego nie wyrzucają. To dlatego mamy trzysta pokoi pełnych różnych rzeczy.

Elizabeth wysunęła się z jego objęć i zaczęła zapinać bluzkę. Potem palcami przeczeswała włosy.

- Muszę przygotować obiad.

- Niech kucharka się tym zajmie - szepnął. Wyobraził sobie całe popołudnie spędzone z tą namiętną

Angielką w zamkniętej na klucz bibliotece. Chętnie znów rozpiąłby jej bluzkę.

- O, Sam. Nie ma żadnej kucharki.

Sam uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jesteś też kucharką?

- Dałeś się nabrać, co?

- Kochanie, czy ty czasem sypiasz?

- Niewiele - przyznała. - Nie masz pojęcia, jak kosztowne jest prowadzenie takiego domu.

- Ale przecież nie możesz robić wszystkiego sama. Jak zauważyłem, ten twój Ruckles chyba nie jest szczególnie pomocny.

- Kocham to miejsce - powiedziała z dumą. - To mój dom, moje dziedzictwo. Czy nigdy nie kochałeś czegoś tak bardzo, że gotów byłeś zrobić wszystko, by to zatrzymać?

Sam usiadł i przez chwilę się zastanawiał. Elizabeth tymczasem wsunęła bluzkę w spodnie.

- Chyba nie. No, może w dzieciństwie.

W każdym razie nie do tej pory. Ale przecież poznał ją zaledwie przed dwoma dniami. Nikt się nie zakochuje w ciągu dwóch dni. A już na pewno nie Sam Martin, mężczyzna, który w ogóle nie myśli o małżeństwie.

- No więc nie jesteś w stanie mnie zrozumieć - odparła Elizabeth, ale uśmiechnęła się i pomachała mu wychodząc z pokoju.

Ależ rozumiał ją, może nawet aż za dobrze. Wiedział, że zakochawszy się w Lizzie, wpakowałby się w tarapaty. Nie opuściłaby Longley, a on nie byłby w stanie mieszkać w tym mauzoleum.

- Ruckles!

Elizabeth szybko pobiegła korytarzem, minęła paradne pokoje i skierowała się w stronę błękitnej sypialni. Jej lokaj, wyraźnie załamany, siedział na ławeczce w jednej z nisz, z głową w dłoniach.

- Co ci jest?

Ruckles wstał, poprawił liberię i wyprostował ramiona.

- Nic, proszę pani.

Elizabeth zaniepokoiła bladość jego skóry.

- Czy coś się stało?

- Stało? - powtórzył. - Stało?

- Słyszałam jakiś straszny hałas dochodzący z tej starej sypialni, gdzie trzymamy różne niepotrzebne rzeczy. Musiałeś też to słyszeć.

- Tak, proszę pani. Prawdę mówiąc, to ja tam byłem. Potrąciłem dużą rolkę dywanu i upadła na podłogę. Nie zrobiła żadnych szkód, prawda? - spytał zaniepokojony.

- Nikomu nic się nie stało?

- Nie, proszę pani.

- Lepiej nie myśleć, co mogłoby się stać. Gdzie się podziali nasi goście? Kilka pań widziałam na śniadaniu, ale nie wszystkie.

- Parę z nich odwiedziło panią Martin. Pomagają jej sortować listy i znakomicie się bawią.

- A reszta?

- Porozchodziła się po domu. Ktoś czyta w bibliotece, pani Carmichael i pani Lee chciały pospać dłużej i zjeść śniadanie w pokoju, pani Nolan dzwoni do swej firmy, a pani Lizotte ćwiczy na tarasie.

- Chciałam im pokazać skarbiec, a potem pojechać do Stonehenge i Bath. Wolałabym trzymać się tego planu.

- Rozumiem. Poinformuję je o tym. O której będzie lunch?

- Jak zwykle. O pierwszej.

- Bardzo dobrze. Elizabeth zawahała się.

- Może powinnam jednak zajrzeć do tej starej sypialni i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie mogę pozwolić, by na głowy moich gości spadały kawałki gipsu.

- Gipsu, proszę pani?

- Tak. Jeden z medalionów na suficie obluzował się pod wpływem wibracji. Omal nie straciłam całej porcelany, a Longley swej wiosennej wystawy.

Ruckles tak zbladł, że Elizabeth uspokajająco poklepała go po ramieniu.

- Nie martw się. Straciliśmy tylko jedną wazę i to nie z tych najstarszych.

- Co za ulga. Obejrzałem dokładnie tę starą sypialnię, proszę pani. Na pewno nie będzie więcej kłopotów.

- Wobec tego zajrzę tylko do gości i do pani Martin, a potem przygotuję nam wszystkim pyszny lunch. Może powinieneś zejść na dół i wypić filiżankę herbaty. Nadal kiepsko wyglądasz.

- Dziękuję pani. Chyba to zrobię. Nie przywykłem do takiego zamieszania.

Elizabeth przypominała sobie swoje sam na sam z Samem. Dobrze wiedziała, co czuje Ruckles.

Kałuża zniknęła. Naprawdę zniknęła. Mimo ulewnego deszczu na kamiennej posadzce korytarza wiodącego do kuchni nie było ani śladu wilgoci. Ciekawe, jak Samowi udało się to zreperować.

W ogóle miły z niego człowiek. Choć nie bardzo miałyby go z kim porównać, na pewno jest też świetnym kochankiem. Anthony był jej pierwszym i jedynym mężczyzną. I dał jej aż nadto jasno do zrozumienia, że ani się umywa do innych kobiet, które miewał.

A Anthony, członek śmietanki towarzyskiej i gospodarz cotygodniowego programu telewizyjnego, spotykał przecież wiele kobiet.

A Sam? Z iloma kobietami się kochał? Tak umiał całować, że miała wrażenie, że od gorąca jej ciała rozpuści jej się ubranie.

Elizabeth otworzyła drzwi do kuchni i spróbowała nie myśleć o seksie. Peggie była zajęta obieraniem marchewki. Na kuchni bulgotała zupa.

- Postanowiłam, że sama zacznę - wyjaśniła pokojówka. - Zostawiła to pani, żeby się odmroziło, prawda?

- Zgadza się.

Ona też miała wrażenie, że zaczyna odmarzać. Anthony odszedł przed dwoma laty. Przez te dwa lata nie kochała nikogo. To długo.

- Psze pani?

- Tak?

- Pytałam, czy chce pani, żebym podgrzała chleb, czy tylko pokroiła i rozłożyła do koszyczków? Zrobiłam sałatkę z kurczaka, sałatkę z tuńczyka i pokroiłam kilka brzoskwiń.

- Chyba wystarczy, jak pokroisz. Zresztą zrób, jak uważasz. Nie musiałaś tego wszystkiego robić sama.

- Lubię gotować - odparła pokojówka. - Pattie woli sprzątać i dbać o meble, ale ja lubię kuchnię. - Peggie wytarła ręce o fartuch. - Desery też już przyniesiono. Sernik jest w lodówce, a te drobne ciasteczka jeszcze nie rozpakowane.

- Wspaniale. Dziękuję.

- Nie ma za co. W ogóle nie powinna tu pani siedzieć. Może poszuka pani pana Sama i pójdzie sobie z nim na miły spacer.

- Pada.

Pokojówka wzruszyła ramionami.

- Tylko trochę. Czy pan Sam widział już staw? Mężczyźni lubią stawy. Mój Albert złowił tu niejednego pstrąga i mówi, że to istny raj dla wędkarza.

- Nie wiem, czy pan Sam lubi łowić.

W ogóle niewiele wiem o „panu Samie”, dodała w duchu. Nawet nie wiem, czym się zajmuje. Jakie ma hobby. I czy wie, że powoli się w nim zakochuję.

- To niech go pani zapyta. Jakby to było takie proste.

- Zlikwidował tę kałużę w korytarzu. Przydałaby się nam taka złota rączka. Niech go pani zapyta, czy nie szuka nowej pracy,

- Jestem pewna, że w poniedziałek rano z przyjemnością wyruszy do Londynu. Pani Martin czuje się już lepiej. A on nie wygląda na takiego, który szuka posady.

- Jak pani nie zapyta, to się pani nie dowie - powiedziała pokojówka.

- Jego matka jest bardzo sympatyczna. Na pewno pani powie.

- Pattie, skąd wiedziałaś, że kochasz Johnny'ego?

- Siedział obok mnie w pociągu do Londynu i zanim dojechaliliśmy do stacji Paddington, byłam zakochana.

- Ale skąd to wiedziałaś?

- To przez te jego ręce. Spojrzałam na nie i na jego błękitne oczy i powiedziałam do siebie w duchu: „Pattie, dziewczyno, nie wypuść go z rąk”.

- I co zrobiłaś?

- Uśmiechnęłam się i dałam mu mój numer telefonu. A kiedy do mnie zadzwonił, zaprosiłam go na kolację i zrobiłam mu pyszną pieczeń ze wszystkimi dodatkami. Poznał moją mamę, tatę, moje koty i pocałował mnie na dobranoc.

- I? - dopytywała się zniecierpliwiona Elizabeth, zafascynowana prostotą tego romansu.

- Dwa tygodnie później on z kolei zaprosił mnie do swego domku i poprosił, żebym za niego wyszła.

- Takie to było proste?

- Miłość jest prosta, psze pani. Albo przynajmniej powinna być, ta prawdziwa.

Pattie wzięła duży nóż i zaczęła kroić świeży, chrupiący chleb.

Jeśli jest prawdziwa. Jeśli to miłość. Ale przecież tylko w książkach ludzie zakochują się w sobie po dwóch dniach. Sam na pewno jej nie zechce. Musiałby wtedy wziąć i Longley.

Przekonała się już, i to w sposób dość bolesny, że nikt przy zdrowych zmysłach z własnej woli nie weźmie tej posiadłości. Wpadłby przecież w pułapkę, połykającą pieniądze dwadzieścia cztery godziny na dobę. Spadałby z sufitu, naprawiał ciekący dach i unikał turystów. I byłby dla niej tak przykry, jak był Anthony.

A tym razem złamałoby jej to serce.

- Dziś jest ta jedyna noc - szepnęła Betsy. - Jestem pewna, że coś się wydarzy.

Ruckles wyprostował się i spojrzał na nią poważnie.

- Ależ proszę pani, nie mogę przenieść bagażu pana Sama do pokoju lady Elizabeth bez jej zgody.

- Ależ może pan. Po prostu powie pan, że jedna z pan skarżyła się, że jej towarzyszka chrapie. Te dwie damy z Connecticut mieszkają w jednym pokoju, prawda?

- Tak, ale...

- Albo może pan powiedzieć, że goście zaczynają coś podejrzewać, że ktoś widział, jak Sam wchodzi do innego pokoju niż Elizabeth.

- Nigdy w to nie uwierzy.

- Musi pan spróbować. Została nam jeszcze tylko ta jedna noc, potem ja wracam do Ameryki, a pan do lokajowania - przypomniała mu. - Koniec pomocy w pańskich badaniach, żadnych rad w sprawach wydawniczych, żadnych intelektualnych dyskusji. Wróci pan do otwierania drzwi, naprawiania dziur i dreptania po domu za lady Elizabeth. - Zauważyła, jak zbielewały jego zaciśnięte ręce i zrozumiała, że uderzyła we właściwą strunę.

- Jeśli się pobiorą, przetrzuci pan większość tych obowiązków na Sama. A może, kto wie, przejdzie pan w ogóle na emeryturę i zajmie się tylko pisaniem?

- Na emeryturę?

- To wcale nie jest takie złe. Może mi pan wierzyć. Ja to niedawno zrobiłam i jeszcze nigdy w życiu tak się dobrze nie bawiłam.

- Mówi pani o zabawie? - Ruckles powtórzył to słowo, jakby słyszał je po raz pierwszy.

- O zabawie. A to znaczy, że będzie mógł pan robić, co chce i kiedy pan chce. Niech pan spojrzy na mnie. Czy nie widać, że znakomicie się bawię?

- Moim zdaniem, przepraszam za wyrażenie, pani cały czas szuka guza.

- Guzy to też zabawa - odparła wesoło, popychając go ku drzwiom. - A teraz niech pan idzie spakować rzeczy Sama, ale proszę do kolacji nie przynosić ich do jej pokoju. Po kolacji spróbuję czymś ich zająć. Zanim zorientują się, że będą spać razem, będzie za późno, żeby coś z tym zrobić.

- Mogę stracić pracę.

- Nikt niczego nie straci - zapewniła go, lekko popychając. - Niech pan to zrobi, póki Sam naprawia podłogę. Pora chwycić byka za rogi.

- Czy zaplanowała pani coś dla nas na dzisiejszy wieczór, lady Elizabeth?

Sam przerwał krojenie wyjątkowo miękkiej wołowej pieczeni. Sam chętnie zadałby jej to pytanie na osobności. Lizzie była tego wieczora bardzo elegancka - w jasnoniebieskiej sukience i delikatnym naszyjniku z brylantów, na pewno prawdziwych. Nikt by się nie domyślił, że godzinę wcześniej osobiście gotowała tę kolację.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- Myślałam, że dam paniom już dziś spokój. Jemy przecież tak późno, a całe popołudnie wędrowaliśmy po ulicach Bath. Ale jeśli ktoś chciałby jeszcze wyjść, proponuję wyprawę do miejscowego pubu.

Jej pomysł spotkał się z ogólnym milczeniem.

- W takim razie - powiedziała - chciałabym otworzyć szampana i wznieść toast za naszych gości. To był cudowny weekend. Mam nadzieję, że dobrze się panie bawiły.

Wszyscy potwierdzili, a Elizabeth obiecała szampana do deserów. Betsy, która czuła się na tyle dobrze, że mogła zejść na dół i zjeść kolację ze wszystkimi, zaproponowała paniom, które spędziły z nią przedpołudnie, dalszą dyskusję o historii Longley.

- Znalazłam parę rzeczy, które mogą się wydać paniom interesujące - powiedziała.

- Na przykład, mam? - musiał zapytać Sam. - Kolejnego ducha? Jeszcze jeden pokój, w którym straszy?

Elizabeth rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie, to nie ten obraz straszy. Dowiedziałyśmy się, z dokumentów, które znalazła dla nas Elizabeth, że obraz namalowano dopiero na początku osiemnastego wieku i nie ma on żadnego związku z królową. Oprócz tego, że artysta ją właśnie namalował.

Kilka pań było wyraźnie rozczarowanych.

- A więc w błękitnej sypialni nic nie straszy - oznajmiła z ulgą Elizabeth. - Czy ktoś ma może ochotę na dokładkę marchewki?

- Ja poproszę, kochanie - zgłosił się Sam. Pattie natychmiast postawiła przed nim salaterkę. - Jarzyny są dziś wyjątkowe.

- Ale mimo to w pokoju jest taki specyficzny nastrój - nie rezygnowała Betsy - choć nie wiadomo dlaczego. Skoro nigdy nie była w Longley, to czemu miałyby być tak do tego miejsca przywiązana.

- Czy duchy mogą stracić poczucie kierunku?

Sam parsknął śmiechem, ale szybko zorientował się, że siedząca obok niego kobieta mówi poważnie.

- Nie przypuszczam, ale nie jestem przecież specjalistą od duchów.

- Ja też nie - przyznała z westchnieniem Betsy. - Ale jestem pewna, że w tym pokoju coś jest. Jesteś pewna, że królowa nigdy nie spała w tym łóżku? - zwróciła się do Elizabeth.

- O ile wiem, proszę pani, wizyta królowej została odwołana, choć ten właśnie pokój był już dla niej przygotowany.

Betsy pokiwała głową.

- Znalazłam opis tych przygotowań. Łoże ozdobiono purpurowym jedwabiem i czterema pióropuszcami nad baldachimem. To musiał być imponujący widok.

- Łoże, w którym straszy - westchnęła jedna z pań. - Bardzo romantyczne.

Elizabeth pokręciła głową.

- Łóżko stojące teraz w błękitnej sypialni nie jest oryginalnym szesnastowiecznym łóżem, przygotowanym dla królowej.

- Co się z nim stało?

- Jest w moim pokoju. I to od lat, a ja ani razu nie widziałam ducha. Bardzo mi przykro, pani Martin.

- A niech to - mruknęła niechętnie Betsy. - Na nic cała moja teoria.

Sam zniósł jakoś podany w salonie deser, wysłuchał dyskusji pań o historii Wielkiej Brytanii, nawet podziwiał kolekcję zabytkowych sukien, które Elizabeth przyniosła na dół, żeby pokazać gościom. Za dwa lata, po odnowieniu i wyczyszczeniu, planowano w Longley ich wystawę. Lady Elizabeth miała wiele planów. Goście byli pod silnym wrażeniem. Weekend na wsi odniósł sukces. Jutro wszyscy się rozjadą. Sam też wyjedzie.

Myśl ta nie sprawiła mu przyjemności. Spędził dzień na naprawie podłogi, potem odbył długi spacer po posiadłości, widział, jak marnieją różne zabudowania. Wpadło mu do głowy wiele pomysłów. Było tyle sposobów, by Longley mogło zarabiać pieniądze, ale Elizabeth najwyraźniej interesowała się tylko samym domem.

Zwolniony w końcu z obowiązków uroczego i towarzyskiego gospodarza, Sam wycofał się ulgą do biblioteki. Nad szklaneczką whisky w samotności zastanawiał się nad swoją przyszłością.

Właściwie nie było się nad czym zastanawiać. Znalazł się na rozdrożu i znakomicie zdawał sobie z tego sprawę. Musiał przyznać - choćby tylko przed samym sobą - że bardzo mu było dobrze w Longley. Był zmęczony pracą. Był gotów do czegoś nowego. Mógłby się nawet zakochać. Mógłby nawet tak stracić rozum, jak jego matka. Kiedy dopił drinka, opuścił bibliotekę i ruszył długim, zachodnim korytarzem w stronę swego pokoju. Z dziwnym uczuciem patrzył na dobrze mu już znane satynowe tapety w żółto-zielone pasy. Zdziwił się dopiero, kiedy chwycił za klamkę i okazało się, że drzwi do jego pokoju są zamknięte. Na próżno szarpał klamkę i stukał w drzwi.

- Słucham pana? - Obok niego pojawił się Ruckles. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie mogę wejść do swego pokoju.

- Ależ proszę pana, nikt panu nie powiedział? - zdziwił się lokaj. - Pański pokój dostała jedna z pań. Wie pan, podróżuje z kuzynką, a ona strasznie chrapie. Zażądała osobnego pokoju, a ponieważ tylko pański wchodził w grę...

- Daliście go jej - dokończył za niego Sam. - Co to znaczy, że tylko mój wchodził w grę?

- Wszystkie pokoje, w każdym razie te, które nadają się do mieszkania, są zajęte.

Sam był zbyt zmęczony, by dyskutować.

- No, dobrze, wobec tego zaprowadź mnie tam, gdzie mam dziś spać.

Ruckles skinął głową.

- Pozwoliłem sobie spakować pańskie rzeczy i przenieść je na drugi koniec korytarza, do pokoi lady Elizabeth.

- Lady Liz zgodziła się na tę przeprowadzkę?

Sam przypomniał sobie ich poranny pocałunek pod stołem. Czyżby ostatecznie zmieniła zdanie?

Ruckles odchrząknął, ale nie udzielił odpowiedzi.

- Proszę za mną - rzekł tylko i szybko ruszył ciemnym korytarzem.

Kiedy doszedł do jego końca, otworzył drzwi do bładoniebieskiego saloniku. Przy kominku stały dwie małe kanapki. Pokój oświetlał ogień i stojąca na wiśniowym sekretarzyku lampa. Torby Sama stały w rogu, pod osłoniętym koronkową firaną oknem.

- Jestem pewien, że będzie tu panu wygodnie - rzekł lokaj i wskazał mu stojącą na stoliku butelkę wina i dwa kryształowe kieliszki.

- Dziękuję, Ruckles. Gdzie będę spał?

Sam rozejrzał się dokoła, ale podwójne drzwi na przeciwległej ścianie były zamknięte. Czyżby Lizzie chciała, by spał na jednej z tych delikatnych kanapek?

- W garderobie znajdzie pan dodatkową pościel - odparł, gotów już do wyjścia lokaj. - Mam nadzieję, że podoba się panu pobyt w Longley. Bardzo jesteśmy wdzięczni za pańską pomoc w naprawie podłogi w łazience.

- Nie ma sprawy.

Lokaj zniknął, cicho zamykając za sobą drzwi. Sam został sam. Podwójne drzwi prowadziły do sypialni. Ogromne łoże z baldachimem przykryte było ciemnoniebieską kapą i białymi koronkowymi poduszkami. Dywan i ściany były koloru kości słoniowej. Między oknami wisały obrazki przedstawiające kwiaty. Przez garderobę można było wejść do łazienki.

A w niej, jak dało się słyszeć, kąpała się kobieta.

- Lizzie? - spytał, uchylając lekko drzwi. Pluskanie ustało.

- Sam?

- Chciałem ci tylko dać znać, że tu jestem. Minęło kilka chwil.

- Co robisz?

- Należę sobie drinka i rozejrzę się, gdzie mógłbym spać.

- Ale dlaczego? A zresztą, zaraz wychodzę.

Sam nie mógł się tego doczekać. Rozpiął kilka guzików koszuli i wrócił do saloniku. Do jednego z kieliszków nalał odrobinę wina.

Nie czekał długo. Bosa lady Liz, owinięta długim do ziemi białym aksamitnym szlafrokiem, stanęła w drzwiach. I wcale się nie uśmiechała.

- Co ty tu robisz?

- Ruckles mnie przyprowadził. Musiał dać mój pokój komuś z gości i powiedział, że kazałaś mu tu mnie zainstalować.

Elizabeth ze zdziwienia otworzyła usta i szybko je zamknęła.

- To jakiś żart, prawda?

Sam pokręcił głową i wskazał stojące pod oknem torby.

- Nie. Masz ochotę na kieliszek wina? To też zawdzięczamy Rucklesowi.

Liz usiadła na kanapie i przyjęła wręczony jej kieliszek.

- Twoja matka na pewno ma coś z tym wspólnego.

- Być może. - Sam stuknął się z nią kieliszkiem. - Za co wypijemy?

- Nie mogę tego zrobić - jęknęła z rozpaczą, patrząc na niego błękitnymi oczami.

- Czego?

- Kochać się z tobą, a potem zaraz pożegnać, jakby się nic nie stało. Sam uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko, prawie dotykając jej kolanami.

- Czy nie lepiej na razie skoncentrować się tylko na tym pierwszym kroku?

- Wiem, to bardzo kuszące, bo jak mnie nie denerwujesz, jesteś cudowny, ale ja przez te lata przywykłam do samotności i...

- Elizabeth - rzekł, powstrzymując ten potok słów. - Wypij wino i przez chwilę nic nie mów.

- Dobrze - zgodziła się i pociągnęła łyk. - Merlot. Moje ulubione. Ruckles o wszystkim pomyślał.

- Matka nim kieruje. Od lat stara się mnie wyswatać.

- Bezskutecznie.

- Tak. Do tej pory. - On też wypił łyk wina. - Lizzie, nie masz nic pod tym szlafrokiem, prawda?

Elizabeth zarumieniła się i pokręciła głową.

- Nic.

- Wobec tego przenieś swój uroczy tyłeczek do sypialni i zamknij za sobą te cholerne drzwi. Jeśli tego nie zrobisz, za trzy minuty będziemy razem na tej podłodze.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Lizzie nachyliła się i pocałowała go.

- Jeszcze nigdy nie kochałam się na podłodze.

- Czy to znaczy tak?

Elizabeth wrzuciła kieliszek do kominka.

- Zawsze chciałam to zrobić - powiedziała. - Czy zachowasz się w końcu jak mąż, czy nie?

Nie musiała go dwa razy prosić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Może sekret tej cudownej nocy polegał na tym, że nie spędzili jej na łóżku, pomyślała Elizabeth. Obudziła się wtulona w Sama. Ogień już dawno zamienił się w popiół, choć pamiętała przecież, jak Sam kilkakrotnie dorzucał do kominka.

Leżeli na dywanie, przykryci tylko jej szlafrokiem, ale ciepło zawdzięczała głównie temu wspaniałemu męskiemu ciału. Sam spał. Jego cudownie owłosiona pierś falowała rytmicznie i miarowo.

Elizabeth ułożyła się na boku i pogładziła go delikatnie. Nie chciała go budzić, ale nie mogła się oprzeć. Musiała go jeszcze raz dotknąć, ten ostatni raz. Nadszedł dzień, powinna się wykąpać, ubrać i zająć śniadaniem.

A Sam wkrótce wyjedzie.

- Hej - zamruczał, otworzył oczy i uśmiechnął się do niej. Mimo jednodniowej brody i potarganych włosów wyglądał przystojnie jak zawsze.

- Dzień dobry.

Uznała, że nie powinna być nieśmiała. Przecież kochała się z tym mężczyzną minionej nocy dwa razy. Dotykał jej w taki sposób i w takie miejsca, jak dotąd nigdy nikt. Był w niej i kochał się z nią, aż obojgu zabrakło tchu.

- Wygląda na to, że nie dotarliśmy do łóżka - zauważył.

- Zgadza się.

I bardzo dobrze. Jej łóżko nie będzie się łączyło ze wspomnieniami o nim. A gdyby w ogóle chciała zapomnieć, że się zakochała, bez trudu znajdzie do swego saloniku inny dywan. Na razie nie chciała, no, przynajmniej nie w tej chwili. Do jego wyjazdu chciała cieszyć się i delectować tym uczuciem. Zanim wszystko się skończy.

- O czym myślisz? - A co?

- Uśmiechasz się.

Sam przyciągnął ją do siebie, a właściwie na siebie. Niepotrzebny szlafrok płatał im się między stopami.

- Myślałam o śniadaniu.

- Kłamczuszka.

Sam uniósł jej biodra i delikatnie w nią wszedł. Elizabeth nachyliła się, omiotła go włosami i pocałowała.

- Kiełbaski i jajka - wymieniała. - Placuszki z kwaśną śmietaną i truskawkowym... Ooo, tak dobrze.

- Przecież jestem mężem - rzekł z dumą i z radością spełnił ten męzowski obowiązek.

Potem zmęczeni leżeli chwilę między kanapami.

- Może goście mogliby sami zrobić sobie śniadanie - rozmarzyła się Elizabeth.

- Wiesz co? - Sam zwrócił się ku niej i odsunął jakiś niesforny kosmyk z jej czoła. - Jeśli moja matka odmówi wstania z tamtego błękitnego łoża, a ja nie wstanę z twojego, to będziesz musiała pozwolić nam zostać.

Jego słowa podniosły ją na duchu.

- Wydawało mi się, że tylko czekasz, kiedy będziesz mógł wyjechać.

- Jeszcze trochę mogę poczekać - odparł Sam. - Uważam, że najpierw powinniśmy porozmawiać.

- Dobrze. Kiedy goście wyjadą - zgodziła się Elizabeth.

Pocałowała go krótko, narzuciła szlafrok i wstała. Potem zniknęła w łazience. Wzięła prysznic i ubrała się, cały czas błogosławiąc swatających lokajów i matki.

- To był naprawdę wspaniały weekend - zwróciła się Dorla Long po śniadaniu do Sama. - Będę bardzo miło wspominać pobyt w państwa domu. - Westchnęła i rozejrzała się po słonecznej jadalni. - Dopiero tu zrozumiałam, że już dawno powinnam przemeblować mój dom.

- Cieszę się, że dobrze się pani bawiła. - Sam zrobił krok w stronę drzwi, z nadzieją że dama podąży za nim.

Część pań lokaj odwoził na stację do miasteczka. Reszta wynajętymi samochodami wybierała się w dalszą podróż w poszukiwaniu ciekawych miejsc. Sam marzył, by zrobiły to jak najszybciej. Miał parę spraw do przemyślenia, a odgrywając lorda nie był w stanie myśleć.

Aż trudno mu było uwierzyć, ale panie zaakceptowały go w roli męża Elizabeth. A Elizabeth zaakceptowała go w roli swego kochanka.

Wciąż go to zdumiewało. Spojrzał na stojącą przy kominku Liz. Poprosiła go, by jeszcze raz włożył swój kostium lorda, żeby panie mogły

porobić zdjęcia. Warto było wcisnąć się w tę ciasną kurtkę, by znów zobaczyć Elizabeth w jednej z tych głęboko wyciętych sukien.

- Kochanie? - Lizzie pomachała do niego. - Mógłbyś podejść do zdjęcia?

- Oczywiście.

Stłumił westchnienie zniecierpliwienia i przeszedł przez pokój, by stanąć obok niej. Za kilka minut będzie już po wszystkim i znów będzie zwyczajnym poczciwym Samem Martinem. Ciekawe, czy zwyczajny poczciwy Sam Martin będzie dość dobry dla lady Elizabeth. Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Sam...

- Cudownie! - zawołała Barbara i znów rozbłysły flesze. Sam spojrzał prosto w błękitne oczy zarumienionej Elizabeth.

- Lord Longford!

W progu stał wyraźnie poruszony Ruckles.

- Słucham, Ruckles?

- To znaczy, chciałem powiedzieć, lady Elizabeth! - Lokaj próbował przerwać rozmowę podnieconych pari. - Muszę panią prosić do...

Nagle wyminął go wysoki, elegancki mężczyzna i wszedł do jadalni. Jego uśmiech zdawał się sztuczny, ubranie wyglądało na bardzo drogie, a blond włosy były idealnie ułożone.

- Elizabeth, kochanie!

Sam spojrzał na Elizabeth. Była biała jak ściana, ale próbowała się uśmiechnąć.

- Anthony. Co za niespodzianka!

- Niespodzianka, kochanie? Myślałem, że mnie oczekujesz? - rzekł Anthony, kłaniając się stojącemu w milczeniu paniom.

- Kilka dni temu - odparła Elizabeth.

Oderwała się jakimś cudem od kominka, podeszła do niego i przyjęła pocałunek w policzek.

W tej samej chwili znalazł się obok nich Sam. Wyciągnął do nowo przybyłego rękę.

- Longford. Miło mi znów cię widzieć. Mężczyzna uniósł brwi, ale podał mu rękę.

- Tak, wzajemnie, stary - odparł, a potem szeptem zwrócił się do Lizzie: - Czyżbym coś popsuł?

- Trzymaj język za zębami i wszystko będzie O.K. - wyjaśnił mu Sam, choć marzył, by zamiast tego wyrzucić go za drzwi. - Przynajmniej tyle możesz teraz dla niej zrobić.

Elizabeth ujęła Anthony'ego pod rękę.

- Powinieneś poznać naszych gości, zanim wyjadą. Panie pozwolą, to mój kuzyn, lord... Anthony Longford.

- Ooooo - ucieszyła się któraś z pań. - Jeszcze jeden lord Longford. Cudownie. - Nie mogła się powstrzymać i potrząsnęła ręką Anthony'ego.

- Jeszcze jeden? - powtórzył za nią Anthony i pytająco spojrzał na Sama.

Sam poklepał go po ramieniu.

- Jeszcze jeden - rzekł tak, że tylko Anglik mógł go usłyszeć. - Dla nich to ja jestem jej mężem, rozumiesz?

Anthony błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Rozmawiał z paniami, wyjaśniał, że miał przyjechać wcześniej, ale wezwano go do Tunezji w sprawie ważnej audycji dla BBC. Damy, wyraźnie oczarowane, podążyły za nim do wyłożonego marmurem holu.

Sam miał ochotę utopić go w stawie.

- Proszę pani, jest pani natychmiast potrzebna na dole! Betsy zobaczyła stojącego w progu, zadyszanego i zaaferowanego Rucklesa.

- Nigdy pan nie uwierzy, co dziś znalazłam. - Betsy podbiegła do rozrzuconych na łóżku papierów i wyciągnęła jakiś dziennik. - Mam!

- Co takiego?

- Wszystko połączyłam. Wiem, dlaczego w tym pokoju straszy. Jeden z waszych lordów był bardzo oszczędnym człowiekiem - oznajmiła, machając triumfująco dziennikiem. - Chce pan wiedzieć, co zrobił?

Lokaj umyślnie patrzył w przeciwną stronę.

- Nie teraz, proszę pani. Proszę pójść ze mną.

- Co to znaczy „nie teraz”?

Ruckles był tak poważny i obojętny wobec jej odkrycia, że Betsy w końcu się zaniepokoiła.

- Czy coś się stało Samowi? Na miłość boską, niech pan mówi!

- Z panem Samem wszystko w porządku. Przyjechał lord Longford.

- O czym pan mówi?

- Anthony. Były mąż.

- Prawdziwy?

Betsy rzuciła dziennik na łóżko. A niech to. Po co jej drugi lord? A Samowi już tak dobrze szło. Mogła sobie pogratulować. A teraz coś takiego!

- Jest pan pewien?

Ruckles kiwnął głową.

- Co on tu robi?

- Nie był łaskaw mnie poinformować.

- Cholera, nie mógł wybrać gorszego momentu.

- Zgadzam się z panią w stu procentach. Co powinienem wobec tego zrobić?

- Przytrzymać go w bibliotece do wyjazdu gości.

- Na to już za późno. Próbowałem jakoś odwrócić jego uwagę, ale koniecznie chciał wejść do jadalni i przywitać się ze wszystkimi. Lord Anthony przywykł, że nikt nie śmie mu się sprzeciwić.

Betsy była gotowa za wszelką cenę bronić swego planu.

- Wobec tego ja zajmę się tym młodym człowiekiem - przysięgła. - Nie pozwolę, by wszystko popsuł. Szczególnie teraz, kiedy ma spełnić się moje przeznaczenie.

- To nie tylko pani przeznaczenie. Jeśli lady Elizabeth nie odniesie sukcesu, będzie musiała wyjechać z Longley i ja też. A jeszcze żaden Ruckles nie opuścił tego miejsca.

- Nigdy?

- Tylko wraz ze śmiercią, proszę pani, ale i wtedy chowają nas na terenie posiadłości.

Betsy zdecydowanie ruszyła za nim. Z trudem nadażała.

- Niech się pan nie martwi, Ruckles. Nie pozwolę, by ktokolwiek pozbawił pana pańskiego grobu.

- Dlaczego masz na sobie ten strój? - spytał Anthony, spoglądając na jej biust. - Dość śmiały, jak na niedzielny poranek.

- To niezbędny element mojego weekendu na angielskiej wsi - odparła Elizabeth i zrobiła krok do tyłu. - Tego, w którym obiecałeś wziąć udział, pamiętasz?

- Bardzo cię przepraszam. Moja sekretarka powinna do ciebie zadzwonić. - Anthony wskazał głową przygwożdżonego przez dwie panie

Sama. - Widzę, że bez trudu znalazłaś sobie substytut. Amerykanin -
parsknął śmiechem. - Naprawdę, Elizabeth, jak ci się to udało?

- To bardzo miły człowiek. Mieliśmy wspaniały weekend - oznajmiła
zdecydowanie.

Anthony uniósł brew.

- Skąd ta obronna postawa? Czyżbyśmy mieli tu do czynienia z
romansem?

- Odczep się.

- A więc jednak romans. Z tym krzepkim Amerykaninem, który
patrzy na mnie, jakby chciał jak najszybciej się mnie pozbyć.

- Być może. Wcale nie miał ochoty wcielać się w ciebie, ale odwalił
kawał dobrej roboty.

Anthony uśmiechnął się i rozejrzał po pokoju.

- A więc tak łatwo mnie zastąpić, co? Gdzie jest ten głupi Ruckles?
Przydałaby mi się szklaneczka czegoś mocniejszego.

- Tam, obok schodów, z matką Sama. Jak to dobrze, że już się lepiej
poczuła.

Betsy Martin, w lawendowym garniturze, szeptała coś do Sama, a
Ruckles wziął jej bagaże i niósł do wyjścia.

- Jak ona się nazywa?

- Betsy Martin.

- Wygląda mi znajomo - mruknął, widząc, że Amerykanin z matką
zmierzają w ich stronę.

- Dziwne.

- Skąd się tu wzięła?

- Ta miła, starsza pani zachorowała w czasie wycieczki, musiała więc zostać tu na weekend. Cieszę się, że poczuła się lepiej i zeszła, by pożegnać moich gości.

- W czasie wycieczki? Czyżby Dianne wciąż kręciła się po okolicy? Elizabeth zignorowała jego pytanie. Oboje pamiętali pewne popołudnie, gdy Anthony i przewodniczka zostali przyłapani w schowku na pościel. I w dodatku żadne z nich nie okazało najmniejszej skruchy.

- Betsy, poznaj mego kuzyna, Anthony'ego.

- Miło mi. - Betsy podała mu rękę i nachyliła się do jego ucha. - Mam nadzieję, że nic nam pan tu nie popsuje.

- Staram się, jak mogę - odparł. - Mam wrażenie, że skądś panią znam.

- Tak?

- Już wiem. Kilka lat temu w Cannes robiłem z panią wywiad. Napisała pani książkę, według której nakręcono „Nocnego kochanka”. Dostał nawet nagrodę.

- Dwie nagrody - sprostowała Betsy. - Prawda, że Cannes to piękne miasto?

Anthony zwrócił się do Elizabeth:

- Nie wiedziałaś, że pani Martin jest sławną pisarką? Elizabeth spojrzała na Betsy, której oświadczenie Anthony'ego wcale nie wprawilo w zakłopotanie.

- To prawda?

Betsy wzruszyła ramionami

- Przeszłam na emeryturę. Teraz zamiast opisywać przygody, sama będę je przeżywać.

Elizabeth spojrzała na Sama. On też wzruszył ramionami.

- Jakiego rodzaju książki pani pisała? - spytała jedna z pań, podsluchawszy tę część rozmowy.

Odpowiedział jej Anthony.

- Jest specjalistką od opowieści o duchach, domach, w których straszy, o podróżach w czasie i romansach. Trzy z jej książek przerobiono na filmy i...

- Cztery - sprostowała znowu Betsy. - W przyszłym roku Spielberg robi następny.

- Opowieści o duchach - powtórzyła Elizabeth. Dopiero teraz wszystko stało się jasne. - Rozumiem. Potrzebowała pani materiału i znalazła.

- Coś w tym rodzaju - przyznała Betsy. - Ale zupełnie przypadkowo. Proszę nie myśleć, że specjalnie po to tu przyjechałam.

- Tak właśnie myślę - mruknęła Elizabeth, spoglądając na Sama. Sam stanął tuż obok niej i wziął ją za rękę.

- Mylisz się - rzekł najciszej, jak mógł. - Mówiłem ci, że matka ma bujną wyobraźnię i lubi wszystko komplikować.

Elizabeth wyswobodziła dłoń.

- A ty wiesz, jak z tego korzystać. Zaaranżowałeś jej wypadek, żebym pozwoliła jej zostać, tak? Wiedziałeś, że nie chcę, żeby Longley stało się sławne ze swych duchów. To bez sensu.

- Ruckles sam o wszystkim napisze - oznajmiła głośno Betsy. - Będzie trzeba to trochę ożywić, ale w tym mu pomogę.

Kilka pad znało książki Betsy, niektóre poprosiły o autografy. Ich podniecone głosy rozbrzmiewały w wyłożonym marmurem holu. W końcu Ruckles oznajmił, że bagaże gości są już na podjeździe. Pattie i Peggie stały przy schodach, czekając na dalsze rozkazy.

- I jeszcze jedno - powiedziała Betsy. - Czy chcą panie wiedzieć, czemu w tym pokoju straszy?

Oczywiście wszystkie chciały.

- Proszę za mną.

Elizabeth nie miała wyboru. Ze sztucznym uśmiechem ruszyła wraz z innymi do błękitnej sypialni. Chciała, żeby Martinowie jak najszybciej wyjechali. Niech sobie Betsy zabiera stąd swe opowieści o duchach, swego przystojnego syna i samą siebie. I to jak najszybciej. Zaraz po wyjeździe gości. A za nimi niech podąży Anthony.

- Popatrzcie. - Betsy odchyliła atłasową narzutę i pokazała jedną z nóg łoża. - Widzicie te inicjały? HC?

Wszyscy oprócz Elizabeth i Sama nachylili się, by zobaczyć.

- HC to znaczy Hampton Court. Tutejszy piąty lord był szambelanem na dworze Stuartów, po śmierci królowej Elżbiety.

- I? - dopytywał się o dalszy ciąg Anthony.

- Zajmował się usuwaniem wszystkich niepotrzebnych mebli z dworów królewskich. Zdaje się, że i wtedy często dokonywano przemeblowań. No i lord wykorzystywał wiele tych rzeczy, żeby umeblować swe własne posiadłości. Było to oczywiście całkowicie legalne.

Betsy wyprostowała się i opuściła kape.

- Hampton Court. A więc mogło to być rzeczywiście łóżko królowej. I dlatego straszy.

- Nic nie straszy - zaprotestowała Elizabeth. - To bardzo ładna historyjka, ale...

Betsy pokręciła głową.

- Nie czujesz?

- Nie.

Betsy powąchała powietrze.

- Majeranek.

- Królowa używała go w swych perfumach - wtrącił się Ruckles.

- Stań tutaj.

Betsy nie ustawała. Podprowadziła Elizabeth do portretu. Samowi też kazała tam stanąć.

- Chodź, stań tutaj z lady Liz i powiedz, co czujesz, patrząc na portret.

- Naprawdę nie...

Elizabeth mimo wszystko stanęła przy portrecie, plecami do gości. Uznała, że nie jest to najlepszy moment, by robić sceny. Gościła przecież dziesięć agentek ważnych biur podróży. Bardzo ważnych dla jej przedsięwzięcia.

Betsy wycofała się i szepnęła coś do zgromadzonych w pokoju. Elizabeth nie dosłyszała ani słowa. Czuła, że dotyka jej ramię Sama.

- Odsuń się ode mnie - szepnęła, udając, że przygląda się rudowłosej królowej. Nie był to szczególnie schlebiający portret.

- Nie. Dopóki nie powiesz mi, o co chodzi.

- Chcę, żebyś wraz z matką jak najszybciej się stąd wyniósł - szepnęła. - Anthony podwiezie was, dokąd będziecie chcieli.

- Dobrze. Skoro tak sobie życzysz.

- Tak właśnie. Poproś więc matkę, by przestała zbierać materiały do swego kolejnego bestsellera, i pozwól mi pożegnać się z gośćmi.

Zaczekała, aż odejdzie. Już spokojniejsza, rozejrzała się dokoła.

- Lizzie?

- Co?

Zobaczyła stojącego przy zamkniętych drzwiach Sama. W pokoju nie było nikogo. Tylko ich dwoje.

- Drzwi są zamknięte na klucz.

- To je otwórz.

- Gdybym mógł, na pewno bym to zrobił - odparł.

- Gdzie się wszyscy podziali? - Elizabeth podeszła do drzwi i sama nacisnęła klamkę. - Czy to ma być kawał?

- Trudno powiedzieć - odparł, zdejmując swą przyciasną kurteczkę. - Podejrzewam, że wszyscy poszli razem z matką na dół.

- Przecież Ruckles by nas tu nie zamknął.

- Nie? Nawet gdyby matka mu powiedziała, że będzie miał więcej czasu na pisanie? Znów swata.

- No, chyba że tak. Tym mogła Rucklesa przekonać. - Elizabeth przysiadła na brzegu łóżka. - Twoja matka ma talent do namawiania ludzi na najdziwniejsze rzeczy.

- Moja matka to niesamowita kobieta. Mój ojciec zmarł, kiedy miałem dziesięć lat, i od tamtej pory, by zarobić na nasze utrzymanie, w ciągu dnia zarządzała jego firmą budowlaną, a po nocach pisała. Przekonała samą siebie, że uda jej się zostać sławną i bogatą. I tak się stało.

- Okłamałeś mnie. Sam usiadł obok niej.

- W jakiej sprawie?

- Nie powiedziałaś, po co naprawdę przyjechaliście do Longley.

- Mówiłem prawdę, kochanie. - Sam ujął jej dłoń. - To była zwyczajna autokarowa wycieczka.

Elizabeth spojrzała mu prosto w oczy.

- Dopóki twoja matka nie uznała, że w tym pokoju straszy. Dopóki nie postanowiła zebrać materiałów do swej następnej książki. Dopóki nie pomyśleliście sobie, że uda się wam nabrać tę małą Angieleczkę, co?

- Wcale tak nie było i dobrze o tym wiesz.

- Twoja matka opowiedziała wszystkim, że jesteś moim mężem.

Sam uśmiechnął się i podniósł jej dłoń do ust.

- Czy to by było coś strasznego?

Elizabeth była pewna, że jej serce na moment przestało bić.

- Nie mogłabym zostawić Longley.

- Wcale tego od ciebie nie chcę. Moglibyśmy coś wymyślić... gdybyś mnie kochała.

Elizabeth pokręciła głową.

- To nie takie proste.

- Wprost przeciwnie. Kocham cię. I ty mnie kochasz.

- Przerwał na moment i złożył na jej wargach leciutki pocałunek. -

Razem na pewno doprowadzimy Longley do takiego stanu, że zacznie przynosić zyski.

- Razem?

- Tak. Chętnie podejmę takie wyzwanie. Przerobimy zachodnie skrzydło na mieszkanie dla mojej matki. Sprzedam swoją firmę i będziemy mieli dość pieniędzy, by wyremontować Longley i usatysfakcjonować panów z funduszu powierniczego. - Sam uśmiechnął się. - To znaczy, jeśli zgodzisz się na resztę życia zostać zwyczajną panią Martin.

Elizabeth rzuciła mu się na szyję!

- Bardzo, bardzo chętnie.

- To dobrze. - Sam przechylił ją na poduszki. - No, w końcu będziemy się mogli kochać w jakimś łóżku.

- I to nie byle jakim - odparła, rozpinając mu koszulę.
- Myślisz, że królowa miałaby coś przeciwko temu?
- Nie mam pojęcia - szepnął, zsuwając przybrany koronką stanik jej sukni. - Ale jak się zjawi, to ją o to zapytamy.

Betsy stała w holu i patrzyła, jak Ruckles zamyka drzwi za lordem Anthonym. Udało im się namówić tego młodego człowieka, by wrócił do Londynu i zostawił lady Elizabeth i jej nowego narzeczonego w spokoju.

Ruckles spojrział w górę schodów.

- Bardzo tam cicho, proszę pani. Może powinienem zajrzeć?
- Nie, niech to sami załatwią między sobą. Wiedziała, ba, była pewna, że się dogadają. Widziała

twarz tej kochanej dziewczyny, kiedy zaczęła podejrzewać, że ją oszukano. Sam, dobry, szczerzy, uczciwy Sam szybko ją przekona, że się myliła.

- No, Ruckles, zaprowadź mnie do telefonu. Muszę zadzwonić w parę miejsc.

- Tak jest, proszę pani.

Szybko przeszli przez hol, a potem długim korytarzem, wiodącym do gabinetów.

- Tutaj będzie pani wygodnie.
- Dzięki, Ruckles. Jak idzie czwarty rozdział?
- Znakomicie. Dodałem jeden konflikt i odrobinę romansu.
- Wspaniale. Cieszę się, że postanowiłeś przerzucić się na beletrystykę. To dużo bardziej ekscytujące.
- Jednak „ napięcie seksualne” nadal sprawia mi kłopot - mruknął.
- To kwestia praktyki - zapewniła go, nakręcając numer swej siostry.

Mary odezwała się po dwóch sygnałach.

- Mary, musisz wypożyczyć wózek inwalidzki i natychmiast przyjechać do Anglii. Spotkałam swoje przeznaczenie, a Sam żeni się z cudowną, młodą kobietą. Tak, naprawdę. A, jeszcze jedno - królowa Elżbieta przekazuje pozdrowienia.

RS